

DOLF DE VRIES

BIAŁE KLAMSTWO



FIKCJE I FAKTY 5-6/1988

Dla Josée

Kiedy po raz drugi zastał na jej grobie białe róże, zdumiało go to. — Dziwne, znowu róże — pomyślał. — W zeszłym roku dokładnie taki sam bukiet białych róż, jak ten, który właśnie przyniosłem, dzisiaj znów to samo. Co to może znaczyć?

Przez całe życie był człowiekiem rozważnym, toteż zdecydował, że na razie nie będzie zastanawiał się głębiej nad tą zagadką i zajmie się nią dopiero po powrocie do domu, kiedy będzie już siedział w swoim ulubionym fotelu przy oknie, mając przed sobą filiżankę własno-ręcznie zaparzonej kawy. Położył swój bukiet obok tamtych róż, strzepnął rękawiczkami parę liści i gałązek, zaplótł dłonie na brzuchu i utkwiał spojrzenie w prostym napisie, wyrytym na płycie grobu oraz w jego pamięci:

ANNA MARIA
VAN DER BRUG — DE MEESTER
21.06.1915 17.11.1975

Zimne litery, które w tym momencie nie wywołały w nim żadnych uczuć. Sześćdziesiąt lat, z których czterdzieści dwa przeżyli razem. Nie myśleć teraz, dopiero przy kawie.

Odwrócił się i podążył ku bramie. Był prosty i wysmukły jak topole rosnące koło cmentarza. Nikt by mu nie dał siedemdziesięciu lat. Pozdrowił zgrzybiałego dozorcę przy bramie przyjaznym „do przyszłego roku”, jakby był tu jedynie przypadkowym gościem, a nie żyjącym w samotności wdowcem.

Moje uczucia nikogo nie powinny obchodzić — to założenie było

jedną z jego wielu niezbyt oryginalnych zasad.

Wsiadł do tramwaju i próbował skupić się na tym, co dzieje się na ulicy, jednak myśl o różach nie dawała mu spokoju.

— Dziś mija druga rocznica śmierci Anny i po raz drugi już ktoś mnie uprzedził, skłaniając na grobie jej ulubione kwiaty: białe róże. Czy to może być przypadek?

Niezbyt miło pachnący młodzieniec z długimi jak u dziewczyny, przetłuszczonymi włosami usiadł obok niego, pomagając mu skierować myśli z powrotem na to, co dzieje się w tramwaju. Chłopak miał w ręku książkę.

— Skąd u takiego łachmyty „Totem und Tabu” Freuda? — pomyślał.

Anna z pewnością zaraz by go zgań. Ona uważała dzisiejszą młodzież za „bardzo porządną”, dzinsy, czy jak to się tam nazywa — za strój „nader praktyczny”, długie włosy za „mające pewien urok, jeśli zadbane”, a całe to buntownicze gadanie studentów i tych, co się za nich podają, za „z pewnością nie pozbawione racji”.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się pojednawczo do Anny w oknie tramwaju i po raz nie wiadomo który pomyślał sobie, że ona zawsze miała zrozumienie dla wszystkiego i dla wszystkich. No tak, ale czemu tu się dziwić, jest o dziesięć lat młodsza od niego i pochodzi z zupełnie innego środowiska. Dwa lata po śmierci nadal myślał o niej tak, jakby siedziała obok.

Młodzieniec wstał i wysiadł, przejechawszy dwa przystanki. Nie chciało mu się przejść tego kawałeczka. Popatrzył za nim. Skąd u niego Freud? Chociaż nie, twarz nawet miła. Zno-wu odbiegł myślami w przeszłość. Anna kochała życie. Na szczęście obydwójce bardziej lubili przyglądać się życiu, niż je rzeczywiście przeżywać. Nazywał to zwykle „obserwowaniem z boku z pewnym dystansem”. Znacznie natomiast różnili się sposobem patrzenia. Anna przyglądała się życzliwie, zawsze z uśmiechem, zawsze gotowa okazać wyrozumiałość. On zaś wyczekująco, ze starannie wystudowanym uśmiechem i niewzruszonym przeświadczeniem, że nic nie jest takie miłe i ładne, na jakie wygląda. Ileż to razy musiał powściągać Annę, mówiąc:

— Poczekaj trochę, a przekonasz się, że to ja miałem rację.

Ale cóż, ona zawsze poddawała się z łatwością. Wrócił myślami do czasów jeszcze dawniejszych, do podróży statkiem po Renie.

Siedzieli właśnie przy kolacji, kiedy Anna usłyszała dobiegający z którejś z kawiarenek wesoły gwar zabawy.

— Chodźmy popatrzeć.

Jeszcze dziś widzi ten uśmiech w jej oczach.

Nie dał nic po sobie poznać, ale szedł niechętnie. Chciał ją mieć tylko dla siebie, nie bardzo potrzebni mu byli inni ludzie, a już zwłaszcza tacy, którzy zebrali się, żeby się poba-wić. Bał się tańczących, śpiewających, spontanicznych ludzi. Weszli do lokalu i stanęli w ką-ciku. Anna z rozradowanym skupieniem, on trwożliwie skryty za jej plecami, żeby broń Boże nie porwała go któraś z tańczących kobiet. Spoglądając na rozbawiony tłumek, Anna westchnęła:

— Jak to pięknie, kiedy człowiek potrafi się całkowicie wyżyć.

I pamięta jak dziś, że potem odwróciła się do niego i szepnęła:

— Chodźmy już, wiem że wolisz, abyśmy byli sami.

Gdyby nie to, że mieszkał przy ostatnim przystanku, na pewno pojechałby za daleko.

Ponieważ bardzo go rozgniewało, że tak siedział i wzdychał (jak prawdziwy stary piernik — zawyrokował), żwawiej niż zwykle ruszył do swojego mieszkania w domu seniora. Także tutaj przywitał się protekcyjnie z portierem, spytał, czy są jakieś listy i ruszył ku schodom. Jak długo zdoła, nie będzie jeździł windą. Nieraz widywał mężczyzn mieszkają-cych na niższych piętrach jak wsiadają do windy, ale on nie pochwalał takiego ułatwiania sobie życia.

— Po co trudno, jak można łatwo — mawiała zawsze Anna, lecz on był innego zdania. Dlaczego nikt nie może uwierzyć w jego siedemdziesiąt lat? Oczywiście dlatego, że zawsze był wobec siebie surowy i wymagający.

* * *

Przeniósł się tutaj, do domu seniora, miesiąc po jej śmierci. Nie dlatego, że nie potrafił-by sobie poradzić, o nie. Przeniósł się tu, żeby nie mieszkać w domu, w którym był szczęśli-wy z Anną. Najchętniej zostawiłby wszystko i na głucho zatrzasnął za sobą drzwi przeszłości. Żadnych wspomnień, żadnego rozczulania się, wyjść z domu i zacząć od nowa. Dlatego zabrał ze sobą tylko najniezbędniejsze meble i sprzęty. Anna z pewnością by to zrozumiała i powiedziała z

uśmiechem:

— Po co masz być taki jak pan Kloos.

Kloos całe lata mieszkał po sąsiedzku. Raz jeden w ciągu tego długiego czasu złożyli mu grzecznościową wizytę, przyrzekając sobie z góry, że nie dadzą nic po sobie poznać, jeśli znowu zaczną opowiadać, jaką to miłą pogawędkę uciał z żoną. Pan Kloos popatrzył na nich potem niepewnie, a następnie, po kilku głębokich westchnieniach powiedział z zakłopotaniem:

— Bo wiecie państwo, już trzydzieści lat jestem wdowcem, a moja najdroższa wciąż jeszcze siaduje w tym fotelu naprzeciw mnie.

Wykluczone, żeby którakolwiek z odwiedzających go osób miała potem opowiadać, że zanudzał ich opowieściami o żonie, pokazywaniem starych fotografii czy portretów. Nikomu nic do Anny. Kiedy doktor zamknął jej oczy, przez moment nie potrafił się opanować, ale nigdy więcej już mu się to nie zdarzyło.

Dzwoni telefon.

— Van der Brug, słucham — rzuca niechętnie w słuchawkę. Jakiś głos pyta, czy nie zapomniał o zebraniu zarządu dziś wieczorem.

— Ależ skąd, przecież przy panu wpisywałem to do terminarza.

I rzeczywiście, jest wpisane.

Anna dopiero by się uśmieła. Nie z tego, że jest przewodniczącym, ale z tego, jak wysadził z siodła niewygodnego Winkelmana. Bo jeśli chodzi o jego funkcję, to co najwyżej wzruszyłaby ramionami.

— Człowieku, ciągle czemuś tam przewodniczysz, czyś ty oszalał, szkoda twojego cza-su.

Niemal słyszy, jakby to powiedziała.

Zresztą, to nawet miłe, że zaproponowali mu od razu funkcję przewodniczącego. W końcu mieszkał tu dopiero niecałe pół roku. Przy całej swojej skromności nie mógł jednak nie uznać tego za pewien zaszczyt. Wcale więc nie zamierzał odrzucać tej propozycji. Gdyby Anna jeszcze żyła i uznała to za zbyt kłopotliwe, to oczywiście natychmiast by się wycofał.

Do diabła, mleko omal nie wykypiało, zdążył w ostatniej chwili.

* * *

No, nareszcie można rozsiąść się wygodnie przy oknie we

własnym fotelu.

Mimo wszystko jest jednak trochę zmęczony, chociaż za nic by się do tego nie przyznał. Chyba dobrze pamięta, że w zeszłym roku też leżały na grobie białe róże? Zamyka oczy, widzi szary kamień, o wiele za duży jak na wymizerowane ciało jego Anny, odczytuje zimne daty i znowu jest zaskoczony pękiem białych róż. Gdyby to były inne kwiaty, goździki czy narcyzy, nie zwróciłby na nie uwagi, ale dlaczego właśnie białe róże? Kto mógł wiedzieć, że tak bardzo je lubiła? Na krótko przed jej śmiercią udali się na spacer przez różany ogród w parku niedaleko ich domu. Anna wdychała woń kwiatów, przyglądała się im z wielką przyjemnością, a potem powiedziała:

— Kiedy mnie już nie będzie, na każdą rocznicę musisz mi przynosić białe róże.

Jak ona, która tak kochała życie, mogła tak lekko mówić o śmierci?

Jakże często zamiast „kiedy mnie już nie będzie” mówiła „jak już mnie nie będzie, pamiętaj żebyś...”

Nigdy nie podejmował tego tematu. Kiedy byli młodzi, to dlatego, że nie miał wtedy ochoty myśleć o śmierci, później, ponieważ zawsze był przekonany, że na pewno umrze wcześniej od niej, a ostatnio, kiedy już dowiedział się o jej nieuleczalnej chorobie, ponieważ nie chciał dać po sobie poznać, że wie jak bliski jest jej koniec.

— Przestań, na pewno dożyjesz setki — powtarzał każdym razem i choć patrzyła wów-czas na niego dziwnym wzrokiem, do dziś uważa, że postąpił słusznie. No bo wystarczy po-myśleć: chorowała dobre pół roku, trudno więc było mu zachować się inaczej jak tylko zataić przed nią prawdę. Gdyby otwarcie go zapytała, oczywiście wszystko by jej wyjaśnił.

Ale ona nigdy nie zadała mu tego pytania.

Kto położył ten bukiet?

Czy widział kiedyś białe róże na jakimś innym grobie? Zaraz, zaraz, na tym tuż za grobem Anny, tam zawsze leży niezwykle dużo kwiatów, zwrócił na to uwagę, ponieważ ta kobieta zmarła już przed dziewięciu laty. Ale czy leżały tam białe róże? Kolejno przebiegł w myślach wszystkich swoich znajomych, ale nie potrafił sobie wyobrazić, aby ktokolwiek z nich mógł uczcić drugą rocznicę śmierci Anny złożeniem kwiatów na jej grobie, a już zupełnie wykluczone,

żeby dwa lata z rzędu składał tam bukiet białych róż.

Zastanawiające, teraz dopiero uświadomił sobie, jak niewielu mieli znajomych, a w dodatku żadnej spośród tych kilku osób, z którymi utrzymywali nieco bliższe kontakty, nie mógłby nazwać zaprzyjaźnioną. Jego samego ludzie zresztą nigdy za bardzo nie obchodzili, natomiast Anna...

Pociąga łyk kawy i gorączkowo próbuje znaleźć odpowiedź. Ee, co tam, po co zawracać sobie głowę jakimiś idiotycznymi różami, oczywiście, że jej również specjalnie nie zależało na ludziach. Doskonale pamięta, jak kiedyś — w ramach rewanzu — zaprosili na swoją rocznicę Beukhorstów, Janssenów i Van Raalte'ów i jak w kuchni ona powiedziała do niego czule:

— Wiem, że marzysz tylko, żeby się już wynieśli.

Nigdy by tak przecież nie powiedziała, gdyby sama nie miała już dosyć gości.

Z tymi różami to jakaś dziwna sprawa.

Która to godzina? Już wpół do pierwszej, pora na jakąś ładną płytę.

Bierze listę ze stolika przy fotelu. Niezwykle starannie spisał niegdyś w porządku alfa-betycznym wszystkie swoje płyty.

— Koncert skrzypcowy Brucha, bardzo go lubiła — mruczy do siebie. Kolano jednak strasznie boli, ale żeby się do tego nie przyznać, zmusza się do wstania z fotela. Długo wyciera płytę z kurzu, sprawdza, czy nie ma czegoś na igle i dopiero wówczas, kiedy jest już całkowicie pewien, że muzyka zawładnie pokojem w sposób nieskazitelny, naciska guzik.

— Szczerze mówiąc, miałbym teraz ochotę na cygaro, ale jest jeszcze za wcześnie — myśli, opadając z powrotem na fotel.

— Za każdym razem równie wspaniały ten Bruch — stwierdza z zadowoleniem. Wykupili kiedyś całoroczny abonament na cykl koncertów kompozytorów współczesnych, ale zupełnie mu to nie odpowiadało. Ta kocia muzyka podobno nazywa się atonalna. Wytrzymał cały rok, żeby zrobić Annie przyjemność, ale tylko ten jeden raz i nigdy więcej. Dla niego muzyka musi mieć melodię. Anna mawiała drocząc się z nim:

— Musi być taka, żeby słuchając dało się rozmawiać.

Przysuwa sobie krzesło i opiera na nim nogi. Przy adagio opadają mu powieki, Anna wdycha zapach róży, jej twarz jest naznaczona

chorobą, ale oczy są wciąż młode, tak jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Co najmniej raz w tygodniu śni mu się pierwsze spotkanie z Anną. Miał wówczas dwadzieścia osiem lat, skończone studia, był adwokatem w dużym biurze, świat leżał u jego stóp. Ze wszystkim mu się szczęściło, tylko żony jakoś nie mógł znaleźć. I nagle spotkał na swojej drodze Annę, a raczej zderzył się z nią w czasie ogromnego przyjęcia u mecenasa von Borzelaera, Panie świeć nad jego duszą. Potrącił łokciem kieliszek wylewając czerwone wino na jej sukienkę. Anna była młodziutka i okropnie się przejęła.

— Co na to powie mama! — wykrzyknęła.

Pamięta to dokładnie. On, przywykły raczej spotykać dziewczęta, które myślały wyłącznie o tym, czy mężczyzna, którego właśnie poznały, może być ewentualnym kandydatem do małżeństwa i to możliwie jak najszybszego, z miejsca zadurzył się w tym niewinnym dziecku, które pomyślało tylko o tym, że mama będzie się gniewać. Zaprowadził ją do kuchni, posypał płamę solą, a kiedy to nie całkiem pomogło, zaproponował, że sam wyjaśni mamie, czyja to naprawdę wina.

— Ależ nie, nie trzeba — wyjąkała Anna, i gdyby nie to, że zadziałał szybko, pewnie nigdy nie zostałaaby jego żoną. Nie dał za wygraną i udał się do jej matki. Dopiero kiedy się jej przedstawił, dotarło do niego, że Anna jest córką znakomitego De Meestera, który dla niego, początkującego prawnika, był niedosiężną osobistością Sądu Najwyższego. Znakomity acz ekscentryczny. Później wielokrotnie jeszcze o tym rozmawiali.

Pukanie do drzwi przywołuje go do rzeczywistości.

— Pański posiłek, proszę pana.

I już jej nie ma.

Nieśmiałe stworzenie, nigdy jeszcze nie udało mu się zamienić z nią nawet słowa.

Próbuje rozkoszować się smacznym jedzeniem, próbuje odprężyć się i podrzemać, próbuje czytać, ale nic mu z tego nie wychodzi.

Myśl o różach ani na chwilę nie daje mu spokoju.

* * *

Mijają miesiące i róże z wolna wędzną w jego pamięci.

Razem z sąsiadem wykupuje karnet na cykl koncertów muzyki

Beethovena, raz w tygodniu umawia się na brydża z paroma starymi znajomymi z biura, urodziny świętuje u siostry, ponieważ nic tak naprawdę ważnego się nie ukazało, zaczyna ponownie lekturę pamiętników Churchilla, wieczorem zaś przy kieliszku jałowcówki wypala pierwsze, przy portweii nie drugie cygaro, a kiedy już nadchodzi pora udania się na spoczynek, nalewa sobie jeszcze szklaneczkę whisky, bo jednak boi się nocy. Nigdy nie tęskni za Anną bardziej, niż wtedy, gdy zapada noc. W ciągu dnia, dzięki narzuconej sobie dyscyplinie oraz skoncentrowanej na życiu sile woli, zawsze jakoś potrafił sam siebie przekonać, że jest mu bardzo dobrze i że na pewno dożyje setki, za to nocą opadały go wspomnienia i lękał się każdej minuty, jaka dzieliła go od świtu. Ponieważ nie chce się poddać Annie, która macha do niego ręką, Annie, która podąża przed nim górską ścieżką w pobliżu Frutigen, Annie, która przy trzecim kieliszku wina po dziecinnemu chce nadal trącać szkłem o szkło, Annie, która siada na brzegu wanny, kiedy on się goli, Annie, która czeka na niego z domową szarlotką, kiedy on wraca po ważnej rozprawie — więc ponieważ nie chce myśleć o Annie, co wieczór nalewa sobie jeszcze szklaneczkę whisky w nadziei, że wtedy od razu zaśnie. Próbuje zmusić się do myślenia o następnym dniu, czy — jak on to nazywa „o sprawach jutra”. I obojętne jakie to będą sprawy, czy to będzie mecz w telewizji, spotkanie z tą żwawą pensjonariuszką z naprzeciwka, która ostatnio stwierdziła, że znakomicie poprowadził zebranie, czy będzie to poranna i wieczorna gazeta, spacer po parku czy cokolwiek jeszcze innego, ważne, aby nie musiał myśleć o swoim życiu z Anną, które bezpowrotnie się skończyło.

I tak, minuta za minutą, zajmując się sobą, zapomina o różach.

Aż do chwili, kiedy przychodzi 17 października — pora corocznych odwiedzin jej grobu.

* * *

Pod kwaciarnią zjawia się jeszcze przed otwarciem. Po natarczywym pukaniu w szybę z zaplecza wychodzi panienska.

— Trochę wcześniej pan przyszedł, proszę pana — mówi kwaśno, tonem, jakim pielęgniarce zwykły zwracać się do każdego, kto miał to nieszczęście, że został pacjentem. — Właściwie, to nie powinnam pana wpuścić.

On mruczy pod nosem „dzień dobry” i wchodzi do środka.

— Dzwoniłem wczoraj, zamówiłem białe róże. Nazywam się Van der Brug.

— Zaraz sprawdzę, czy już przygotowane, proszę pana.

Chciał rzucić gniewnie „radzę, żeby były”, ale panienka już zniknęła. Nerwowo chodzi tam i z powrotem, żadnego roku jeszcze tak mu na tych różach nie zależało, jak tym razem. W rogu stoją wieńce nagrobne i przywodzą mu na myśl jego własną śmierć. Kto będzie na jego pogrzebie? Poza siostrą nie ma żadnej rodziny, Anna była jedynaczką, a własnych dzieci nie mieli. Jej twarz, kiedy odwoził ją do szpitala na operację. W drzwiach pokoju po raz ostatni zadała mu to pytanie, patrząc mu z lękiem w oczy:

— Naprawdę nie będzie to dla ciebie straszne?

A on, żeby w najmniejszym stopniu nie podkreślać wagi tej chwili i aby dać jej wyraźnie do zrozumienia, jak mało mu na tym zależy, odpowiedział żartobliwie:

— Niby cóż znowu takiego?

Anna na to, z niespodziewaną powagą:

— To, że nie będziemy już mogli mieć dzieci.

— Nie, Anno, naprawdę, ty mi w zupełności wystarczysz — odpowiedział zgodnie z prawdą.

Nigdy nie przepadał za dziećmi; bawiąc gdzieś z wizytą okazywał uprzejme zainteresowanie, ale z zadowoleniem witał moment kiedy latorośl wychodziła w końcu do swojego pokoju. Oczywiście doskonale rozumiał, że kobieta inaczej podchodzi do tych spraw i nigdy nie zgłaszałyby sprzeciwu, gdyby Anna upierała się przy dziecku, ale... no cóż, natura sama rozwiązała ten problem. Kiedy Anna przestała się już tym zadrećcać, jak to miało miejsce na początku, a co jego zdaniem wynikało z przekonania, że jemu jest strasznie przykro, że ona nie może dać mu potomka, z rzadka już tylko wracali do tej sprawy. Przyjechał po nią po trzech tygodniach, zadbał o kwiaty w domu, posłał gosposię po tort owocowy, i aby jej okazać, że doskonale rozumie, co przeszła, podczas tradycyjnego trącania się kieliszkami, popatrzył na nią dłużej niż zwykle i powiedział ciepło:

— Jestem z ciebie dumny, Anno, jesteś bardzo dzielna.

Żadne z nich dwojga nie lubiło wielkich słów i sentymentów, więc było to w zupełności wystarczające. Przez całe życie rozumieli

się w pół słowa.

Panienka wraca z hałasem.

— Dobrze, że pan wczoraj dzwonił. Już są przygotowane.

— Bardzo pani dziękuję.

Panienka demonstracyjnie zamyka za nim drzwi kwaciarni na klucz. Obawiając się, że i tym razem nie będzie pierwszy, wsiada w taksówkę.

* * *

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło od zeszłego roku. Ten sam zramolały dozorca, te same zadbane alejki, te same topole, ta sama cisza.

Od dziecka nienawidził cmentarzy, ale dzięki Annie jakoś zdołał się z nimi oswoić. Kiedy gdzieś wyjeżdżali, Anna zawsze musiała odwiedzić co najmniej jeden miejscowy cmentarz.

— Tam jest taki przyjemny spokój i można rozmyślać — twierdziła. Brała go pod rękę i spacerowali wzdłuż grobów: on milczący i nieco zażenowany, no bo w końcu nikogo ze zmarłych nie znał i czuł się intruzem, Anna natomiast podekscytowana, jakby wędrowali wśród jarmarcznych kramów.

— Popatrz tutaj, jakie to smutne, dzieciaczek, nie miał nawet dwóch miesięcy, jaka to musiała być tragedia dla rodziców — mówiła, i zaraz potem: — Ta to pożyła, spójrz, dzie-więćdziesiąt trzy lata, szkoda, jeszcze trochę i dostałaby list gratulacyjny od burmistrza.

Kiedy obeszli już cały cmentarz, nieodmiennie zaczynała rozważania na temat, ile on jeszcze, jego zdaniem, będzie żył, bo ona jest pewna, że on będzie żył długo, a ona umrze znacznie wcześniej od niego.

— Ojciec umarł jak miał pięćdziesiąt osiem lat, matka dożyła sześćdziesięciu trzech, pochodzę z krótkowiecznej rodziny, a więc sprawa jest przesądzona — mówiła patrząc na niego z niepojętym spokojem, dorzucając potem niemal pogodnie: — Ja tam się wcale śmie-rci nie boję.

Nigdy nie umiał prowadzić z nią takich rozmów, toteż starał się jak najszybciej zmienić temat na nieco weselszy. Nawet ostatnim razem, na cmentarzu w jakiejś brabanckiej wiosce, kiedy już wiedział, że wkrótce sam będzie stał nad jej grobem, nawet wówczas, kiedy

musiał odwracać od niej oczy, bo tak mu było smutno i już nie wiedział co zrobić, żeby jak najszybciej wyjść z tego cmentarza, nawet wówczas nie wykorzystał szansy, by głębiej zastanowić się nad tą jej refleksją. Jakby sam siebie przekonując, powiedział lekkim tonem:

— W każdym razie na pewno mnie przeżyjesz, w końcu jestem o te dziesięć lat starszy.

Pogłaskała go po kolanie i odrzekła ze śmiechem:

— Ty dożyjesz co najmniej setki. Czyżbyś się obawiał, że ból w kolanie zwiastuje bliski koniec?

Potrafiła czasem coś takiego niedelikatnego powiedzieć, ale zupełnie nieświadomie. W każdym razie z pewnością nie miała zamiaru sprawić mu tym przykrości.

Co za szczęście, jest pierwszy. Nie widać żadnych kwiatów. Wszystko tu jest takie niezmiennie w czasie, kamień jest równie szary jak był, i napis równie nieodwołalny:

ANNA MARIA
VAN DER BRUG — DE MEESTER
21.06.1915 17.11.1975

Okazało się, że miała rację.

Cóż to jest sześćdziesiąt lat?

Zawsze mówił do niej Anna, nigdy Anna'tje czy An. Żadnych spieszceń, po prostu Anna. Czasami, gdy był zajęty albo się na nią gniewał, zwracał się do niej Anna Maria, ale zdarzało się to nadzwyczaj rzadko. Kiedy chciała się z nim podroczyć, lub uważała, że zbyt długo się grzebie przy ubieraniu, wołała na niego „szefuniu”.

— No już przestań, szefuniu, masz prosty ten przedziałek — mówiła wówczas. — Żadna młoda i tak już na ciebie nie polecą.

Dzisiaj kolano boli przy schylaniu. To pewnie z nerwów, bo inaczej rzadko daje mu się we znaki. Rozgląda się wokoło szukając nagrobka czy drzewa, za którym mógłby się ukryć. W zeszłym roku był tu około dziesiątej i ten drugi bukiet już leżał, teraz jest za pięć wpół do dziesiątej, więc nieznajomy ofiarodawca może się zjawić w każdej chwili.

Jeśli w ogóle przyjdzie, to czy też o tej samej porze? A co będzie jeśli przyjdzie, powiedzmy, dopiero pod koniec dnia? Wrócić do

domu i znowu czekać cały rok?

Jak to się stało, że wcześniej o tym nie pomyślał? Logiczne myślenie nigdy nie stanowiło dla niego problemu, ale w tej niecodziennej sytuacji niezbyt się jednak sprawdził.

Nie ma się już zresztą co zastanawiać.

Odsuwa się nieco, patrzy na grobowiec i swoje białe róże. Kiedy tak spogląda na leżący bukiet, zaczyna się trochę wstydzić swojego dzieciennego odruchu.

Dlaczego pozwolił, aby zawładnęło nim uczucie zazdrości, zmuszając go do kupienia bukietu dwukrotnie większego niż poprzednio? Czy przy swoich siedemdziesięciu latach wciąż musi jeszcze szukać samopotwierdzenia?

Jego własne zdenerwowanie przyprawiło go o wściekłość.

— A właśnie że będę kupował takie kwiaty, jakie mi się podoba i gdyby nawet było to dwadzieścia bukietów to, cholera, i tak nikomu nic do tego — powiedział do siebie prawie na głos.

Z przekorą i zawziętością patrzy teraz w stronę bramy cmentarza, niczym głównodowodzący ogarnia spojrzeniem pole bitwy, ocenia, że to miejsce za drzewem, gdzie stoi, jest odpowiednie i mruczy:

— Tutaj nikt mnie nie zobaczy.

Opiera się o pień, przez ułamek sekundy z przyzwyczajenia zastanawia się, czy nie po-brudzi sobie swojego granatowego płaszcza, lecz raptem czuje się już tym zmęczony i wype-łnia go nieznane dotąd uczucie obojętności. Zupełnie tak, jakby stojąc i czekając, po raz pierwszy naprawdę dostrzegł samego siebie.

— Gdyby nawet za parę minut zjawił się tutaj ten obcy mądrala z bukietem białych róż, to co dalej? Czy powinien wówczas wyskoczyć jak podstarzały średniowieczny rycerz, krzy-knąć bohatercko „stój, co to ma znaczyć?!”, a potem wyzwąć go na pojedynek? Pojedynek nie o miłość młodej dziewczyny lecz o względy zmarłej? Cała ta sytuacja jest śmieszna, czuję się jak dureń, a tym szpiegowaniem tylko się ośmieszam.

Najszybciej, jak tylko potrafi, zmierza w stronę bramy. Wściekły na siebie omal nie zapomniał, że powinien pozdrowić dozorcę, lecz tuż przy bramie opamiętuje się.

— Do widzenia, do przyszłego roku — rzuca z protekcyjną uprzejmością, już już chce przekroczyć bramę, gdy w tym samym momencie spostrzega po drugiej stronie placu przed cmentarzem

mężczyznę z bukietem, wysiadającego z samochodu. Z tej odległości nie widać, czy są to białe róże, ale ponieważ czuje, że to właśnie ten człowiek, zmienia nagle zamiar, odwraca się na pięcie, wchodzi do budki dozorca i zaczyna rozmowę.

— Duży ruch ostatnio, prawda? — rzuca na wstępie i dobrze trafia, bo dozorca z miejscy zaczyna rozwlekły monolog. Pocąc się trochę pod kapeluszem udaje, że słucha opowieści, gdy tymczasem tak naprawdę wygląda przez nie myte od lat okno, odprowadzając wzrokiem mężczyznę z bukietem.

— Na miłość boską, co ja wyprawiam? — przelatuje mu przez głowę. — Muszę być już zdrowo stuknięty, skoro śledzę jakiegoś kompletnie obcego człowieka, bo...

Znów opanowuje go wściekłość i trudne do przewyciężenia poczucie urażonej godności.

— Bo, psiakrew, idzie położyć kwiaty na grób mojej Anny!

— Zostawiłem coś — przerywa opowieść dozorca. Otwierając drzwi budki uderza się w głowę, z pośpiechu upuszcza parasol, mimo wszystko, ma jeszcze czas pomyśleć „au, to cholerne kolano”, po czym zaczyna przemykać się boczną alejką w kierunku grobu Anny.

— Będę udawał, że przyszedłem na inny grób — podpowiada sam sobie. Napięty, trzęsąc się ze zdenerwowania, śledzi poczynania idącego przed nim mężczyzny, który właśnie zatrzymał się przy grobie Anny i zaczął odwijać z papieru kwiaty.

Białe róże. Chociaż się tego spodziewał, przechodzi go jednak nieprzyjemny dreszcz.

Mężczyzna spokojnie kładzie je na płycie grobu tuż obok jego bukietu, prostuje się, zdejmuje okulary, lewą ręką przesuwa po policzku, nakłada okulary z powrotem, wydaje z siebie westchnienie, odwraca się sprężyście i odchodzi jakby nigdy nic.

Przyglądał się tej krótkiej scenie z otwartymi ustami i okrągłymi ze zdumienia oczami; był tak przejęty, że kiedy nieznajomy przechodził obok niego, inną wprawdzie alejką, ale jednak bardzo blisko, w ostatnim dosłownie momencie przypomniał sobie, żeby skierować spojrzenie na grób, przy którym stał.

— A więc to właśnie on przyniósł róże, teraz wiem już na pewno, i co dalej? — zadał sobie pytanie.

Może jednak powinienem dogonić tego człowieka, postukać go w ramię i powiedzieć radosnym głosem:

— Pan pozwoli, że się przedstawię, moje nazwisko Van der Brug, tak, tak, dobrze pan zrozumiał, jestem mężem pańskiej... no właśnie, może mi pan wyjaśni, co znaczą te pańskie kwiaty na grobie mojej małżonki?

Ale jeśli naprawdę chce wiedzieć, kim jest ten człowiek, musi natychmiast ruszyć w pogoń. Mężczyzna prawie już wychodził z cmentarza, jeśli więc chce go zatrzymać, to powinien zawołać.

Widzi, jak mężczyzna skinął głową dozorczy, a zaraz potem zniknął mu z oczu.

Nawet nie zobaczył jego twarzy.

Widział jedynie szary płaszcz i fantazyjny kapelusz od deszczu.

Idiotyczne, raczej zbyt młodzieżowe nakrycie głowy.

Że też go przynajmniej nie zdjął nad grobem.

Wciąż jeszcze nie może ruszyć się z miejsca.

Oszołomiony patrzy tępo przed siebie, jego czarny drogi stetson klei mu się do czoła, strużki potu spływają po policzkach, prawą ręką ściska kurczowo parasol, lewą szuka oparcia na pniu młodej brzozy. Patrząc pustym wzrokiem na wróbla, który przygląda mu się ciekawie z „a” w imieniu „Jacob’a” wyrytym na nagrobku, obok którego stoi już chyba od wieków, zadaje sobie pytanie:

— Dlaczego nie poszedłem za tym człowiekiem?

Dopiero po dłuższej chwili nieruchomego patrzenia przed siebie odważył się wyznać sobie prawdę:

— Ja nie chciałem wiedzieć, kim jest ten człowiek.

* * *

Z powrotem także jedzie taksówką.

Dociera do domu śmiertelnie zmęczony. Płaszcz, parasol i kapelusz ciska w kąt, nalewa sobie podwójną whisky, upuszcza pojemnik z lodem, zostawiając rozsypane kostki na lśniącej czystością podłodze kuchni, bierze cygaro, nie może znaleźć obcinacza, odgryza więc koniu-szek, tak że przy każdym zaciągnięciu się czuje w ustach listki tytoniu, aż wreszcie dysząc ciężko, mokry od potu opada na swój fotel przy oknie. Słońce świeci mu nieprzyjemnie w oczy, ale jest zbyt zmęczony, żeby wstać i zaciągnąć rolety. W głowie kłębią mu się dziesiątki pytań, rozpaczliwie próbuje uchwycić się któregoś z nich, ale kiedy już się wydaje, że udało mu się na jakimś skupić, ono

wymyka się ginąc w zamięcie pozostałych.

— Że też właśnie mnie się to musiało przytrafić — mamrocze raz za razem. — Że też akurat mnie się to musiało przytrafić. Najśmieszniejsze w tym wszystkim, że nawet nie wiem, co to za jeden.

Nareszcie, po trzecim łyku, z przeraźliwą jasnością wyłania się przed nim pytanie:

— Dlaczego więc nie ruszyłeś się z miejsca?

— No jak to, przecież to oczywiste, byłem kompletnie zaskoczony.

— Bzdura, wymyśl coś lepszego.

— Bo cała ta sytuacja była dla mnie strasznie nieprzyjemna.

— To za mało, dalej.

— No, ale wiesz, wydaje mi się, że jednak mogę tu wskazać na pewne okoliczności łagodzące...

— Mianowicie?

— Na przykład, jak długo żyję, po raz pierwszy zdarzyło mi się zetknąć z, jak by to powiedzieć...

— Nazwij to jak chcesz.

— ... z intruzem, który wdarł się w moje życie prywatne, życie, które przez czterdzieści lat biegło bez najmniejszych tarć i niespodzianek.

— Kto tak twierdzi?

— No ja, psiakrew.

— Skoro tak było, to skąd wziął się ten człowiek z bukietem białych róż?

— Kto wie, może to jakiś daleki krewny, albo... czy ja wiem... ktoś, o kim Anna nigdy mi nie opowiadała, ktoś widocznie mało ważny, pewnie po prostu zapomniała mi o nim opowiedzieć, często jej się zdarzało o czymś zapomnieć, nie wydaje mi się zresztą, żeby warto było tę sprawę tak rozdmuchiwać, przez całe życie brzydziłem się taniej sensacji.

Szklanka jest pusta, w ustach pełno tytoniu, ze wstrętem wypluwa listki na kamizelkę.

— Ja jednak wrócę jeszcze do sprawy, bo skoro ten człowiek miałby być taki nieważny, to skąd w takim razie wiedział o białych różach? Czy twoja Anna wszystkim opowiadała, że białe róże to jej ulubione kwiaty?

— Skąd mogę wiedzieć? Wydawało mi się, że tylko ja jeden o tym wiem, nie przywiązywałem do tego wagi. Anna była dość otwarta do ludzi, nie taka zamknięta jak ja, miała towarzyskie usposobienie, całkiem możliwe, że wtajemniczyła kogoś z naszych przyjaciół w swoje upodobania.

— Waszych przyjaciół?

— Tak, dobrze zrozumiałeś, mieliśmy wielu przyjaciół, to cię dziwi?

— Czy wtajemniczałyby również kogoś obcego?

— Przecież wcale nie musiał być dla niej obcy.

— O, to coś nowego, zdumiewasz mnie, ty, który dotrzymywałeś Annie towarzystwa nawet wtedy, gdy szła kupić nową sukienkę...

— O czym ty mówisz?

— Daj mi dokończyć, powtarzam więc, ty, który ani na moment nie zostawiłeś Anny samej, który chciałeś znać każdy jej krok, ty twierdzisz, że obojętne ci jest odkrycie, że kobie-ta, którą przez czterdzieści lat uważałeś za swoją osobistą własność...

— Zaraz, spokojnie, co to za określenia,...

— ... że ta kobieta najwyraźniej miała przyjaciela, albo przynajmniej osobę, którą znała do tego stopnia, że zdradziła jej ten sam sekret, który powierzyła tobie?

— No i co takiego? Zawsze twierdziłem, że każdy człowiek ma prawo do własnego życia, szanowałem sferę prywatną drugiej osoby, zawsze to rozumiałem. Bardzo lubiłem siedzieć sobie nie nagabywany przez nikogo w moim gabinecie, to był mój świat. Anna zawsze umiała to uszanować. Oczywiście nie byłoby w porządku, gdyby miało się okazać, że Anna, jak by tu powiedzieć, no dobrze, otóż że Anna dzieliła pewne przeżycia z kimś innym, ale nie jestem z rodzaju tych, którzy od razu przekreśliliby z tego powodu całe małżeństwo. Moja miłość do niej ani odrobinę się przez to nie zmniejszy.

— Czy mógłbyś powtórzyć ostatnie słowa?

— Dobrze słyszałeś, co powiedziałem.

— Mogę zapytać, czy przez cały ten czas byłeś absolutnie wierny?

— Dość impertynenckie pytanie, powiedziałbym.

— To nie jest żadna odpowiedź.

— Wygląda na to, że słabo mnie znasz. Niewierność nie leży w

moim charakterze, uważałbym to za wysoce nieodpowiedzialne, a poza tym najwyraźniej zapomniałeś, że kochałem Annę.

— No dobrze, a więc podsumujmy: nie jesteś oburzony, wcale cię to nie złości, nic się nie zmieniło w twoim stosunku do zmarłej małżonki, w przyszłym roku znowu zaniesiesz na jej grób białe róże i...

— Nie chcę już nic słyszeć na ten temat.

— Nie czujesz się obrażony?

— Powiedziałem, że nie chcę już słyszeć na ten temat.

— Nie czujesz się urażony w swojej dumie?

— Zamilcz!

— Absolutnie nie myślisz o swojej osobie?

— Powiedziałem ci już do cholery, żebyś stulił ten swój wredny pysk, bo jak jeszcze raz go otworzysz, to ci tak dołożę, że się nie pozbierasz, chyba zapominasz do kogo mówisz, nie jestem oskarżonym, chyba nie bardzo wiesz, że jeśli jest oskarżony, to wtedy...

— Czemu nie chcesz poznać prawdy?

Omam nie zgniata szklanki.

— Muzyka — dyszy. — Nic takiego się nie stało, puszcze sobie płytę, coś głośniejsze-go, coś co wypełni cały pokój, co zagłuszy te przekłete pytania, o właśnie, dokładnie to, cze-go szukam, Wagner, wygląda na czystą, nie trzeba odkurzać.

„Tannhauser” po raz pierwszy, Anna ma dopiero dwadzieścia dwa lata, wtedy jeszcze nosi długie włosy, z wahaniem maluje usta pomadką:

— Czy nie wyglądam dziwacznie? Co by ojciec powiedział, jakby mnie zobaczył?

Oni oboje w Wiedniu, ramię przy ramieniu spacerują przez świat, z którym on jeszcze przed wyjazdem zapoznał się w lekturze, a który dla niej pełen był nieodkrytych dziwów.

— Miałabym ochotę tańczyć ze szczęścia — zakrzyknęła radośnie, a on hamował ją z przestraszonym uśmiechem na twarzy. Wiedeń to Anna w cienkiej białej sukience, Anna z rozwianymi włosami, Anna zachłannie prosząca o jeszcze jedną porcję Sachertorte („jeszcze tylko jedną, bo to takie niedobre na linię, a takie smaczne”), Anna w operze z otwartymi szeroko dziecinnymi oczami, Anna prychnąca ze śmiechu na komedii Kleista w Burgtheater.

Między pogodne obrazy znów wkrada się ten głos:

— Ale Wiedeń to także: nie rób tego Anno, ludzie na nas patrzą, alez ty jesteś niemo-żliwa, naprawdę chcesz tu tańczyć na Hohe Markt, uważaj Anno, wiatr podwiewa ci sukienkę, tu masz grzebień Anno, ten kawałek z powodzeniem możemy przejść na piechotę, czyś ty oszalała, my w dorożce...?

— Kłamiesz, kłamiesz, kiedyś po zakończeniu przedstawienia zrobiliśmy sobie przejażdżkę, gotowy byłem zrobić dla niej wszystko, nie mogę już znieść tej twojej gadaniny, dzieją się dziś ze mną rzeczy, których zupełnie nie rozumiem, których w ogóle nie kontroluję, zwariuję w tych czterech ścianach, kto tam powiesił ten obraz, mówiłem, że nie chcę go tam widzieć, w domu Anna kazała go powiesić w korytarzu, powiedziała „nie obchodzi mnie, kto go namalował, mnie się nie podoba i już” i wtedy ja od razu powiedziałem „no to powiesimy go w korytarzu” i wcale nie było tak, że mi zależało, żeby goście go widzieli, ani by mi przez myśl nie przeszło wieszając go wbrew jej woli w pokoju, nigdy nie powiedziałem ani zrobiłem nic, zanim nie zapytałem Anny, czy zgadza się z moją decyzją, nie zniosę już dłużej tych kłamstw.

Nie usłyszał nieśmiałego pukania do drzwi.

Zakłopotana staruszka wsuwa nieśmiało głowę przez drzwi i przepraszając mówi z uśmiechem:

— Bo ja, proszę pana, chciałam sobie uciąć poobiednią drzemkę, więc czy nie byłoby dla pana zbyt kłopotliwe, gdyby pan troszeczkę ściszył muzykę?

Spogląda na nią zaskoczony.

— Ależ tak, już, proszę bardzo, ja zapomniałem... ma pani rację... Wagner, pani rozumie... zaraz wyłączę.

— Ależ nie ma takiej potrzeby, naprawdę, proszę sobie słuchać, tylko jakby pan mógł odrobinę ściszyć...

— Nie, nie, ja zaraz... właśnie miałem taki zamiar... niech pani sobie wyobrazi... proszę się na mnie nie gniewać.

— Ależ skąd, dziękuję panu bardzo i bardzo przepraszam, że tak wtargnęłam.

Głowa znika za drzwiami.

Nagła cisza powoduje, że napięcie go opuszcza.

Idzie do sypialni i kładzie się w ubraniu na łóżku. Nie zdejmuje nawet butów. Zasypia z myślą:

— Całe szczęście, że nie chodziłem po parku.

* * *

Budzi go telefon.

Półprzytomny z rozespania wtacza się do pokoju, podnosi słuchawkę, mówi „halo”.

— Moje nazwisko Blink. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale dziś rano byłem na grobie Anny, zobaczyłem pański bukiet i pomyślałem sobie...

Po chwilowym zaskoczeniu, szybko odzyskuje pewność siebie.

— Zaraz dam mu nauczkę — myśli sobie, po czym mówi:

— Istotnie, odpoczywałem właśnie.

— Bardzo mi przykro, ale jak już mówiłem, zobaczyłem pańskie róże i prawdę powie-dziawszy dopiero wtedy tak naprawdę uświadomiłem sobie pańskie istnienie. Oczywiście wiedziałem o panu, ale... jak by tu powiedzieć... przez telefon wszystko brzmi tak zasadniczo i sucho, a wcale mi o to nie chodzi, ale nigdy właściwie nie brałem pana pod uwagę, znaczy przez ostatnie dwa lata. A dziś rano zobaczyłem te białe róże i wtedy pomyślałem sobie, że może już najwyższy czas, żebyśmy się poznali.

Milczenie.

Właściwie powinienem coś powiedzieć, tylko co?

— Rozumiem, że pan... halo, jest pan tam jeszcze?

— Tak, słucham.

Całe szczęście, wyszło dokładnie tak, jak chciał, krótko i zdecydowanie, udało mu się też opanować nerwowe chrząknięcie.

— Domyślam się, że mój telefon jest dla pana zaskoczeniem, więc może zadzwonię ponownie za kilka dni, ale podkreślam raz jeszcze, że bardzo mi zależy na spotkaniu z panem.

Czuje, że dłużej nie może już zwlekać z odpowiedzią.

— Dosyć to dla mnie zaskakujące, że tak panu na tym zależy, jak wnioskuje z pana słów. No cóż, w takim razie może rzeczywiście się spotkajmy, przypuszczam, że zna pan mój adres.

Zabrzmiało to wystarczająco wyniośle.

— Czy odpowiada panu, żebym przyszedł, powiedzmy, pojutrze?

— To znaczy w sobotę?

— Tak, w najbliższą sobotę, na przykład o piątej, dobrze?

— Zaraz sprawdzę w terminarzu, czy dysponuję wolnym czasem.
Odczekał chwilę, aż uznał, że cisza trwała wystarczająco długo, a potem powiedział:

— Wolałbym jednak w niedzielę.

— Świetnie, w takim razie w niedzielę o piątej, przyjdę na pewno.

— Do widzenia, panie...

— Do widzenia, panie Van der Burg.

Słuchawka jest mokra od potu, ręce mu drżą.

Gorączkowo usiłuje sobie wmówić, że to ogromny sukces, to przesunięcie spotkania na niedzielę, ale gdy tylko odłożył słuchawkę, zaczął żałować, że nie zaproponował:

— Skoro już tak koniecznie musimy rozmawiać, to najlepiej od razu.

Czemu był taki głupi, że nie umówił się z tym człowiekiem na jutro? Przynajmniej pozbyłby się tej niepewności. A tak, nic nie wie, ale jest ostatnim człowiekiem, który mógłby ulec pokusie zadreżczenia się jałowymi domysłami. Najpierw trzeba udowodnić fakt, na samym początku fakty, żadnych wielkich słów, najpierw zapoznać się z materiałem, tak zawsze pracował. Żadnego chodzenia po omacku, proszę.

Ileż to razy hamował Annę ostrzegawczym:

— Nie możesz tak twierdzić Anno, nie dysponujesz kompletem danych.

A więc teraz sam musi zachować spokój.

Nie uprzedzać faktów. Jeśli będzie nieostrożny, wydarzenia zaczną kierować nim, za-miast odwrotnie.

— Do diaska, ależ mnie boli to kolano, właściwie trzeba by się wybrać do lekarza, ale ci smarkacze dzisiaj i tak o niczym nie mają pojęcia.

Czy ma kogoś, z kim mógłby o tym porozmawiać, jakkolwiek nie jest to coś, w co człowiek chciałby wtajemniczać osoby postronne? Mógłby wybrać się do siostry, ale ona nie potrafiłaby zrozumieć tej jego nagłej, nie zapowiedzianej wizyty w środku tygodnia. Poza tym nie wiedziałaby, jak się zachować wobec tej jego nagłej otwartości. Tu w domu też się dzisiaj nic nie dzieje, żadnej prelekcji ze slajdami czy czegoś w tym rodzaju. Jedyne osoby, które są tu zawsze, które nie patrzyłyby na niego zdziwione, to Van Raalte'owie, może i mógłby do

nich pójść, ale, hm, z drugiej strony, gdyby tak zauważyli, że dzieje się z nim coś szczególnego, to też bardzo by go żenowało. Zresztą, gdzie o tej porze można dostać kwiaty? Auke od razu by się zorientowała, że z nim coś nie tak, bo nigdy nie przychodzi nie zapowiedziany.

Nagle przez głowę przelatuje mu myśl:

— A jeśli jestem jedyną osobą, która nic nie wie o tym człowieku, tym Blinku, jeśli wszyscy znajomi od dawna o nim wiedzieli, Boże, to by znaczyło, że od lat jestem pośmiewiskiem wszystkich.

Na moment pojawia się uczucie żalu do Anny, ale szybko je tłumi.

— Nie, to wykluczone, Anna nie jest taka, nigdy nie chciałaby mnie zranić, nie, z pewnością musi to być jakieś nieporozumienie, oczywiście że tak, Anna uważała pana Blinka za osobę mało istotną, Boże, Boże, jak to byle co potrafi człowieka wyprowadzić z równowagi, nieraz przecież w toku mojej praktyki miewałem do czynienia z gorszymi przypadkami, co ten Blink sobie właściwie wyobraża i do tego takie nazwisko, a ja już o mały włos bym uwierzył, że Anna mnie...

— ... zdradzała?

— A, ty znowu tutaj, mówiłem już, że nie chcę słyszeć ani słowa, z uprzejmości dałem się na chwilę wciągnąć, ale dosyć tego dobrego.

— Przecież wiesz, że się mnie nie pozbędziesz.

— To się dopiero okaże.

Cholera, płyty puścić nie można, bo znowu przyjdzie ta sąsiadka. Nieprzyjemne uczucie, że już nie można robić tego, na co się ma ochotę. Po chwili zastanowienia stwierdził, że lepiej jednak było zostać w starym domu. Przynajmniej nie miałby na karku tej starej zrzędy.

Z wysuniętą do przodu szczęką podchodzi do okna, wygląda na dwór.

— Założymy się, że do niedzieli nie będziesz miał odwagi ruszyć się za próg?

— Zaraz zadzwonię do Van Raalte'ów.

— No to na co jeszcze czekasz? Telefon masz pod ręką.

— Wcale nie muszę dzwonić, równie dobrze mogę wpaść bez uprzedzenia.

— Założymy się, że jutro nie pójdziesz na zebranie zarządu?
— To będzie zależało tylko i wyłącznie od mojego kolana.
— Wydawało mi się, że nigdy nie chciałeś się do tego przyznać.
— Jeśli tam nie pójde — a wcale nie jest to takie do końca pewne — to tylko i wyłącznie dlatego, że bezustanne narzekanie na to moje kolano uważam za uciążliwe dla innych.
— Zawsze liczą się tylko inni, co?
— A co, nieprawda?
— Mimo wszystko gotów jestem się założyć, że do niedzieli nie ruszysz się za próg.
— Nieraz się zdarzało, że się stąd nie ruszałem, ale to o niczym nie świadczy.

— Pasjonująca lektura pamiętników Churchilla?

— Możesz to i tak nazwać.

Chociaż wcale nie był głodny, postanowił zrobić sobie jakieś kanapki. Chciał prowadzić uregulowany tryb życia, tak zdecydował po śmierci Anny. Zwłaszcza nie poddawać się sentymentom, tylko normalnie funkcjonować.

— Dostyc widziałem przypadków skrajnego zgnuśnienia z własnej winy.

Po trzech latach wciąż nie przyzwyczał się do ciepłych posiłków w południe, ale wieczorem też mu się już nie chce ich odgrzewać. Poza tym posiłki bez Anny stały się tylko zwykłym obowiązkiem.

Niemal słyszy brzęk jej kieliszka o swój.

— Że też nigdy żaden nie pękł od tego jej niepohamowanego trącania się — przebiegło mu przez głowę.

Jedna kromka z serem, jedna z szynką i jedna z marmoladą.

Sera już prawie nie ma, dobrze, że nie jest aż takim smakoszem. Doskonale może obyć się parę dni bez sera. Na szczęście chleba jest pod dostatkiem, nie musi więc z powodu jedzenia ruszać się z domu.

* * *

Nie ma odwagi nastawić muzyki, z obawy przed sąsiadką. Nie ma odwagi wyjść na ulicę, z obawy przed ludźmi.

Nie ma odwagi usiąść w fotelu przy oknie, z obawy przed swoimi myślami.

Tylko wieczorami, kiedy jest już ciemno, wymyka się na ulicę.

Niecały kwadrans piechotą stąd jest dom, w którym mieszkał z Anną.

Jeszcze się świeci, osiemnastoletnia może dziewczyna stoi pochylona nad stołem w po-koju na tyłach domu, tam gdzie oni mieli pod ścianą stół jadalny. Obok stolik, na którym stał mały toster Anny.

— Tak jest wygodniej, można korzystać nie wstając od stołu.

Zostawiała tam ten toster na cały dzień, jemu nie bardzo się to podobało, toster nie powinien stać w pokoju, od czasu do czasu wspominał coś na ten temat, ale Anna uważała, że tak jest milej: — przynajmniej widać, że tu jest życie — mówiła.

Dziewczyna wchodzi do pokoju frontowego i zasiada przed telewizorem. Ich też tam stał, dokładnie w tym samym miejscu. Nie może dłużej tak obserwować, otwierają się drzwi naprzeciwko, to na pewno Swinkels wyprowadza psa. Straszne bydlę, już o szóstej rano zaczynał ujadać. Wielokrotnie zwracali na to uwagę, ale nic nie pomagało. Minać jak naj-szybciej, no proszę, tak jak myślał, Swinkels, na szczęście idzie w przeciwną stronę.

Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na dom, hohoho, dopiero teraz zauważył, że jest świe-żo pomalowany. Czy to było w ogóle konieczne? Oni odnawiali co pięć lat, to w zupełności wystarczy. Obrzydliwy kolor, trudno ocenić w ciemności, ale to chyba ciemny brąz, dlaczego właściwie nie biały, przecież zawsze był biały, teraz ludzie muszą zaraz wszystko zmieniać. Chociaż, co prawda to prawda, Anna też nieraz mówiła:

— Może by tak tym razem jakiś inny kolor?

Ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Ona zresztą nigdy tak naprawdę nie nalegała. Najczęściej rzucała szybko:

— Masz rację, to w końcu nie jest takie ważne.

Nie przypomina sobie, żeby kiedyś dłużej na ten temat rozmawiali. Powolnym krokiem wraca do siebie.

Czemu ni stąd, ni zowąd portier wita się z nim dziś tak poufale? Nie chodziliśmy do je-dnej klasy, przyjacielu. Zawsze musi trafić na tego bezczelnego, ten drugi jest o wiele porząd-niejszy. A ten przypomina mu trochę owego młodziana, którego przyjęli gdzieś około 1950 roku do biura. Zaraz, jak się ten nadęty młokos nazywał? Nie potrafi już dziś spamiętać tych nazwisk, no jakże się on nazywał, psiakrew, przecież powinien pamiętać, on też miał w sobie coś takiego wyzywającego. Nawet nie umiał się porządnie wysławić, a zawsze najbardziej się mądrzył. Za jego młodości coś takiego byłoby nie do

pomyślenia, adwokat, który niepoprawnie wymawia słowa. Czasem aż wstyd było za niego.

Anna umiała po mistrzowsku parodiować innych ludzi.

Robiła to nieraz w towarzystwie, Boże, jak ona potrafiła rozśmieszyć obecnych. Nigdy tego za bardzo nie lubił, bo wtedy nie była to już jego Anna, ale oczywiście z całego serca cieszył się, że i ona ma w końcu jakieś swoje drobne sukcesy. Musiał zresztą przyznać, że było jej z tym do twarzy, ta jej dziecięca duma, sposób w jaki podkreślała gestem każde słowo. Potrafiła rozbawić całe towarzystwo swoimi historyjkami i parodiami, odnosiło się wrażenie, jakby żyła całkiem innym życiem. Opowiadała o ludziach i sytuacjach, których on w ogóle nie pamiętał, mimo że przecież na pewno przy tym był. Słyszał jak wymienia nazwy krajów, miast i hoteli, w których byli razem, ale wszystkie te frapujące wydarzenia, o których z taką werwą opowiadała, nie, naprawdę nic podobnego sobie nie przypominał. Będąc w głębi duszy jeszcze bardziej niż pozostali zdumiony tym, co słyszy, śmiał się uprzejmie razem z innymi, ponieważ zdawał sobie sprawę, że od czasu do czasu każdy na niego spogląda, aby zbadać jego reakcję na to, co opowiada Anna. I kto wie, może oczekiwano od niego jakiegoś dowcipnego uzupełnienia usłyszanej właśnie historii?

W drodze powrotnej Anna zawsze bywała bardzo milcząca. Im bardziej ożywiona była wśród gości, tym mniej mówiła, kiedy zostawali sami.

— Bardzo się wygłupiłam? — potrafiła wówczas zapytać, na co on oczywiście natychmiast ją uspokajał, chociaż tak naprawdę uważał, że wszystko zmyśliła, puszczając zbytnio wodze fantazji.

— Wspaniale nas ubawiłaś, Anno, ty to potrafisz wymyślać historie.

Nie może tak ciągle myśleć o przeszłości.

Co wieczór robił sobie małą przechadzkę i to specjalnie dosyć zwawym krokiem, ponieważ kolano wciąż jeszcze dawało mu się we znaki, a jego zdaniem najlepsza kuracja, jeśli idzie o tego typu dolegliwości, to jak najmniej się nimi przejmować. A więc przyspieszyć kroku, zamiast zwalniać.

Dni ciągnęły się bez końca.

Nigdy nawet nie chciał słyszeć o pigułkach nasennych, ani wówczas, kiedy prowadził poważne sprawy, ani nawet wtedy, gdy

Anna chorowała. I to pomimo że w nocnej szafce zawsze stała fiołka, ponieważ Anna źle sypiała i bardzo często musiała po nią sięgać. Tylko pierwszej nocy po pogrzebie, kiedy miał kłopoty z zaśnięciem, po raz pierwszy zażył tabletkę. A dlaczego teraz dał się skusić? Tylko i wyłącznie dlatego, żeby być w formie jutro rano, kiedy przyjdzie mu podjąć ostateczną decyzję i pozalać wszystkie te duperele, jak napisanie listów z podziękowaniami czy zapłacenie rachunków.

Jednym z powodów, dla których bierze teraz tabletki jest to, że chce być w dobrej formie podczas tego niedzielnego spotkania. Nie ma zamiaru później sobie wyrzucać, że nie był dość wypoczęty i przez to naopowiadał głupstw, albo nie sprostał całej sytuacji.

Dzięki kupionemu snowi budzi się później niż zwykle, a celebując poranne golenie, mycie i ubieranie się osiąga tyle tylko, że do śniadania siada prawie wpół do jedenastej.

Ale dzień i tak jest jeszcze za długi.

Próbował starannie się przygotować do czekającej go rozmowy. Najlepszym dla niego rozwiązaniem byłaby pewnie postawa wyniosła, udawanie, że cała ta sprawa w ogóle go nie interesuje, w myśl zasady „co się stało, to się nie odstanie, nie mam zamiaru kłaść swoich wspomnień”. Ale zaraz potem pomyślał o Annie, tej Annie, która przez czterdzieści lat, jak święcie wierzył, była wyłącznie jego, a wtedy porwała go niepoohamowana wściekłość.

— Łajdak — wysyczał. — Szubrawiec, będzie mi przyłaził na grób Anny z różami.

I znowu przestał cokolwiek z tego rozumieć.

Po raz pierwszy w życiu musiał przyznać, że istnieje coś, co zmusza go do litowania się nad samym sobą.

— Czy po to dożyłem siedemdziesięciu dwóch lat, żeby mnie spotykały takie rzeczy? — biadał, a w jego rozmyślenia znowu wkradło się uczucie jakiegoś nieokreślonego żalu do Anny.

Wpół do dwunastej wypił pierwszą whisky i przez resztę dnia butelkę cały czas trzymał w pobliżu. Nie po to, żeby się upić, na to był z natury zbyt poważny i zbyt dawno temu nauczył się panować nad sobą w każdej sytuacji, ale musiał mieć pod ręką szklaneczkę, żeby w momentach, kiedy nie widział wyjścia albo był na siebie szczególnie wściekły, pociągnąć łyk. Jak nietrudno przewidzieć, pod wieczór był już lekko wstawiony, co dostarczyło mu wymówki, żeby nie iść na spacer. Mając w sobie sporo alkoholu zaczął mówić do siebie na głos,

nad czym zawsze dotąd udawało mu się zapanować. Nie tak dawno jeszcze powiedział w windzie do Haringa:

— To głośne gadanie do siebie tych wszystkich pierników naokoło, to już uwiad do potęgi, jeszcze na korytarzu dziamgoczą do siebie jak najęci.

Nikt nie dałby mu jego lat.

Nie da się ukryć, że ciężko na to pracował: mało jedzenia, dużo ruchu, przez całe życie co rano ćwiczenie mięśni brzucha, lato czy zima basen raz w tygodniu. Ale czy właściwie tak być nie powinno? W końcu człowiek ma tylko jedno ciało i tylko jedno życie, czemu więc o nie nie zadbać? To chyba żaden wstyd, że człowiek chce jakoś wyglądać?

Anna często się z tego naśmiewała:

— Czemu sobie wszystkiego odmawiasz, i tak jesteś za chudy, ludzie w naszym wieku nie muszą już być szczupli, taką masz wymizerowaną buzię w tej todze.

Ale on i tak się kontrolował. Na przykład ta dzierlatka z drogerii nie dalej jak tydzień temu zapytała:

— Przepraszam pana, czy nie mógłby pan zdradzić ile właściwie ma pan lat? Od tak dawna pan tu już do nas przychodzi i wciąż pan tak samo żwawy.

— Niech pani zgadnie — odpowiedział.

Dobrze wie, że było to tylko takie puste gadanie, ale z wrodzonej uprzejmości wciągnął brzuch i przekornie przekrzywił głowę.

— Na pewno nie więcej niż sześćdziesiąt pięć.

— Niedawno skończyłem siedemdziesiąt dwa.

Trzeba było widzieć to niedowierzanie w jej oczach. Ależ była zdumiona.

Kiedy brał Annę za żonę, była niewiarygodnie szczupła.

— Jest delikatna jak pyłek kwiatów — szepnęła mu jego matka patrząc na Annę, do-stojnie schodzącą po długich schodach rodzinnego domu. Miał wtedy wielką ochotę podbiec do niej i chwycić ją w ramiona, tak była zachwycająca, ale nie odważył się, ponieważ wraz z nim czekało także sporo osób z rodziny.

Jej ojciec zdradził mu w zaufaniu, że Anna czeka na niego w swoim pokoju, on jednak nie miał pojęcia, jak się zachować, odpowiedział więc tylko z udaną obojętnością, że woli po-czekać na nią tu, na dole. Pewnie, że był zdenerwowany, ale go to wcale nie

usprawiedliwia.

Nie powinien wracać myślami do przeszłości.

Oczywiście, że Anna chciała być z nim sam na sam. No bo w końcu, czy tak wiele mieli podobnych okazji w okresie narzeczeństwa? Zrozumiałe więc, że choć bardzo jej pragnął, jednak trochę bał się takiego prawdziwego sam na sam. Poza tym, gdyby poszedł do niej na górę, nigdy by nie zobaczył, jak dostojnie schodzi po stopniach.

Wszystko ma swoje plusy i minusy.

Przyznaj się, przyznaj, staruszkule, w noc poślubną też nie byłeś taki znowu bohater, nie oszukujmy się.

Pierwszą stacją w ich podróży poślubnej miała być Bruksela. Trzymając się za ręce machali odprowadzającej ich rodzinie, wołali „do zobaczenia za miesiąc”, ale pod tą zewnętrzną maską nonszalancji czuł się dość zakłopotany. Tym bardziej, że od Anny była prawdziwa pewność siebie. Szczerze mówiąc, była wtedy znacznie od niego dojrzała, bo o ile dobrze sobie przypomina, przez cały czas podróży poślubnej, a już na pewno przez pierwsze dni, właśnie Anna grała rolę wiodącą. To ona proponowała wypadki w różne miejsca, ona wybierała muzea, śmiało wchodziła do najbardziej ekskluzywnych lokali i zamawiała najdziwniejsze potrawy. Jedynie jeśli idzie o wina, on miał coś do powiedzenia.

Dziwne, że dopiero teraz to dostrzega.

No dobrze, więc ten pierwszy raz.

Zupełnie niespodziewanie, nie skończywszy nawet deseru, Anna wstaje, przelotnie kładzie dłoń na jego dłoni i szepcze cicho:

— Idę już na górę.

Nic więcej, tylko to:

— Idę już na górę.

Czuł, jak dreszcz przebiega mu po ciele.

Zamówił podwójną whisky i spojrzał na zegarek. Piętnaście po dziewiątej, do dziś pamięta, że było piętnaście po dziewiątej. I pamięta jeszcze jak powiedział sobie, że nie pozwoli jej czekać dłużej niż piętnaście minut. Ale chyba nic takiego strasznego się nie stało, że siedział jeszcze potem na dole całe pół godziny. Po pierwsze, trudno w ciągu dziesięciu minut wypić podwójną whisky, a po drugie, nie miał jakoś odwagi, głównie wskutek świadomości, że oto ma się stać to, na co czekał całe dwa lata. I chyba trudno się dziwić, że po

kolejnej whi-sky nie spisał się za tym pierwszym razem nadzwyczajnie.

To było chyba najbardziej zaskakujące, a nawet deprymujące w ciągu tego ich długiego pierwszego dnia po ślubie: doświadczenie, jakie wykazała w miłości Anna. Jej rozczarowanie, że tak długo nie przychodził, pożądanie w jej oczach, coś wyzywającego w sposobie, w jaki patrzyła na niego leżąc w łóżku. Była tak... jak to nazwać w odniesieniu do własnej żony... tak gwałtowna, tak niepohamowana, od samego początku, gdy wszedł do pokoju przejęła inicjatywę i to na tyle zdecydowanie, że zupełnie zbiło go to z tropu i zaczął się zastanawiać, jak to w ogóle możliwe, skąd u niej takie doświadczenie?

Jedno nie ulega kwestii: Anna w łóżku, to zupełnie inna Anna niż ta w codziennym życiu. Kiedy była naga, ujawniały się w niej emocje i temperament, które w ciągu dnia musiała hamować. Mimo że on tak bardzo ją kochał, nigdy nie mógł przywyknąć do tego jej zapamiętania. Nawet między mężem i żoną pewnych rzeczy robić nie wypada.

No, nie jest to tak do końca szczerze powiedziane, bo w gruncie rzeczy nie chodzi o to, że nie wypada, tylko że się nie ma odwagi. Teraz może to już spokojnie przyznać. Za czasów studenckich zdarzyło mu się być raz u prostytutki, tej nocy po złożeniu egzaminów końcowych. Czuł się jak idiota, ale ta wyprawa na dziwki należała po prostu do obowiązkowej tradycji. No i, mój Boże, czy to nie był zwyczajny i po prostu nic nie znaczący epizod?

Ale z własną żoną to już oczywiście zupełnie co innego.

Czasem nawet człowiek gotów jest wręcz przyznać, że dzisiejsza młodzież ma znacznie lepiej. Seks nie jest już tajemniczym obszarem zakazanym, jak za jego młodych lat. Boże jedyny, gdy się tak widzi te dzisiejsze panny w obcisłych spodniach czy króciutkich spódniczkach, to co tu w ogóle mówić o tajemniczości? Co tu jeszcze zgadywać?

Anna mawiała czasem:

— Chciałabym tak urodzić się trzydzieści lat później.

Ale on nigdy nie podejmował dyskusji na ten temat. Cała otwartość późniejszych pokoleń powoduje jego zdaniem, że gubi się gdzieś fascynujący urok tego, co zakazane, tego, o czym się nie mówi, o czym człowiek nie wie, dlatego też okryte jest taką tajemnicą. Całe to gadanie o frustracjach i kompleksach, całe to przesadne afiszowanie

się psychiatrami, wszy-stko to tylko go złościło. Aż dziw, że Anna wywodząca się przecież z tak nobliwego środowi-ska, miała tak wielki pociąg do nowoczesności. Czy to w muzyce, sztuce, modzie czy literatu-rze, zawsze wolała awangardę niż klasyków. Kiedy w niedzielne popołudnie nastawiał Beethovena, głaskała go po głowie, mówiąc z przekorą w głosie:

— A ty wciąż jeszcze tego słuchasz?

A potem zaczynała nucić wesoło jakiś ostatni przebój, a robiła to tak uroczo, że nie mógł się na nią gniewać.

Zresztą, nigdy nie droczyła się z nim długo.

Skąd nagle te wszystkie wspomnienia?

Mijają dni. Jedyne jego zajęcie, to siedzenie w fotelu i rozmyślania o Annie.

Nie opuszczała go ani na moment.

Ale nie była to ta dobrze znana Anna, która dawała mu poczucie spokoju, nad którą panował. Była to inna Anna, niepojęta, Anna często nie do poznania, niepokojąca, zadająca mu pytania, na które nie znał odpowiedzi, Anna, która tak jak pierwszej nocy, odrywała go od czegoś, co przez całe życie było dla niego jedynym obiektem zainteresowania, mianowicie od niego samego.

* * *

Nigdy nie był pijakiem.

Upijanie się to sprawa krępująca, zwykle człowiek wygaduje wtedy rzeczy, których później żałuje. Nigdy nie miał zbyt wysokiego mniemania o kolegach, którzy w widoczny sposób nadużywali alkoholu. A jeśli jeszcze stawali się natrętni i zaczęli poklepywać go przyjacielsko po ramieniu czy obejmować, uciekał od ich towarzystwa, jak mógł najszybciej. Gdy poproszono go, aby przyjął funkcję przewodniczącego, powiedział prosto z mostu:

— Zgoda, ale nie życzę sobie w czasie zebrań żadnego alkoholu.

Trzeba było widzieć minę Brinkmana, który mało nie pękł ze złości, że on, ktoś zupełnie nowy, nie dość, że od razu zostaje przewodniczącym, to jeszcze do tego zabrania picia!

Zawsze zależało mu na tym, żeby ludzie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Niegdyś razem z Anną pijali zazwyczaj wino do posiłków, a po

kawie — szklaneczkę whisky. Anna lubiła wino, oczywiście nie miała o tym trunku zbyt wielkiego pojęcia, nie potrafiła nawet odróżnić bordeaux od bourgogne, a już zupełnie nic nie mówił jej rocznik, w niczym jednak jej to nie przeszkadzało. Na ogół poprzestawali na jednym kieliszku, ale nie można zapominać, że niekiedy za jej namową wypijali także drugi, a czasem nawet trzeci. Nie mógł wówczas nie zauważyć, że po paru kieliszkach Anna stawała się zupełnie rozkoszna. Pojawiało się w niej coś z okresu, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną: z jednej strony nie-śmiałość, jak podczas ich pierwszego spotkania, a z drugiej bezwstydnie niepomowanie, takie jak pierwszej nocy.

Tak, właśnie tak, wydawała się wówczas bezwstydną.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że jego koledzy uważają Annę za kobietę atrakcyjną.

— Ależ ty masz żonę, chłopie, tobie to się trafiło. Ile ona ma uroku! I ciągle wygląda młodo.

Oczywiście był z tego dumny. W końcu przyjemnie jest wiedzieć, że własna żona jest kobietą, o której wszyscy dobrze mówią.

Ale tego wyzywającego rysu, tego błysku beczelności w jej oczach zawsze się trochę obawiał. W pierwszych latach małżeństwa, bo później już nie, zdarzało mu się zadawać sobie pytanie, czy Anna po kieliszku nie jest przypadkiem tą prawdziwą Anną, natomiast ta porządna, spokojna, którą kiedyś spotkał, tylko Anną udawaną.

To, oczywiście, zwykła bzdura, żaden człowiek nie potrafi przecież grać komedii przez czterdzieści lat, a jednak w ostatnich dniach, po tym żalnym incydencie na jej grobie, zaczął myśleć trochę inaczej. Prawdopodobnie również dlatego, że po raz pierwszy od czasów studenckich zdarzyło mu się wypić o kieliszek za dużo.

Boże jedyny, ależ on sobie wtedy pozwalał. Te nieprzytomne powroty do domu, gdy po drodze przytrzymał się ścian, żeby nie rozciągnąć się na ulicy. Te nagłe przebudzenia w środku dnia i uświadamianie sobie, że znów opuścił zajęcia. Bez troskie czasy, kiedy gównu człowieka obchodziło, co powiedzą inni.

Ale te wybryki dzisiejszych studentów? Nie, nie potrafi jakoś tego zrozumieć. Ani mu oczywiście w głowie bronić bez wyjątku wszystkiego, co było w czasach jego młodości. Owszem, zdarzały się rzeczy niedobre, chociaż, jeśli idzie na przykład o tak zwane nierówno-ści społeczne, wcale nie było tak znowu strasznie, jak to się

dzisiaj przedstawia. Ale negowa-nie całej tradycji, nie, tego już za wiele.

Boże, ile myśmy się naśmiali na spotkaniach korporacji. Przez całe życie bardziej odpo-wiadało mu towarzystwo męskie niż damskie. To już zupełne szaleństwo, żeby dopuszczać kobiety do udziału w korporacjach studenckich, to wszystko psuje. On sam przestał w końcu chodzić na te spotkania, środowisko zbytnio się zmieniło. Poza tym, prawie wszyscy, z który-mi studiował, już nie żyją. Ale nawet kiedy jeszcze tak nie było, on i tak przestał przychodzić. W męskim towarzystwie zawsze jest przyjemniej, można rzucić od czasu do czasu jakiś dowcip, nie za pieprzny, ale w sam raz, i jest zupełnie inaczej niż w obecności kobiet.

Żeby sprawić Annie przyjemność, chodził z nią czasem na towarzyskie imprezy, zresztą nie wypadało mu się tak całkiem izolować ze względu na kolegów z biura, najbardziej jednak lubił przesiadywać w domu. Oczywiście nigdy nie pokazywał tego po sobie, ponieważ rozu-miał, że kobieta musi czasem wystąpić tu czy tam w nowej sukience, ale tak naprawdę nigdy nie chodził na takie imprezy z przekonania.

Co tu sobie zresztą wyrzucać, Anna też w gruncie rzeczy najbardziej lubiła spędzać czas w domu.

Ach, te ich niezapomniane wspólne wieczory; on zajmuje się jakimiś drobiazgami przy biurku, ona czyta sobie albo robi na drutach, siedząc naprzeciw niego. I to jej troskliwe pyta-nie:

— Naprawdę ci nie przeszkadzam? Bo jeśli tak, to musisz mi zaraz powiedzieć.

W ciągu dnia musiał oczywiście chodzić do biura, za to wieczorami było mu bardzo miło i przyjemnie, kiedy tak siedziała sobie cichutko w kąciu w tym samym pokoju.

No, jeśli utrzyma takie tempo, to będzie jednak musiał wyjść jutro do sklepu. Normalnie butelka starcza mu co najmniej na trzy tygodnie, teraz poradził sobie z nią w ciągu niespełna dwóch dni. Czy to czasem nie wina whisky, że tak niespokojnie sypia?

Zaraz, co też Anna zawsze śpiewała, kiedy była na dole sama? Taka jakaś staroświecka piosenka dziecięca, no jakże się ona nazywa? Cholera, a może to jego matka śpiewała? Wszy-stko mu się miesza, nigdy dotąd mu się to nie zdarzało. Podczas lektury Churchilla też zaczy-na się na tym przyłapywać. Przeczyta jakiś fragment, a za

moment nie pamięta już ani słowa. No cóż, ma prawo, w końcu siedemdziesiąt dwa lata to nie byle co. I tak nie jest z nim jeszcze najgorzej. Niezła jest ta mała z drogerii. Dzisiaj człowiek chociaż wie, za co płaci. Jak się taka pochyli, cholera, to prawie po pępek wszystko widać. Dawniej po takie widoki trzeba było chodzić aż do nocnego lokalu.

Co to może być za facet z tego Blinka?

Nie myśleć.

Wygląda na jakiegoś artystę, takie przynajmniej odniósł wrażenie, szedł trochę jakby za sprężyste, no i ten zwariowany kapelusz. Jeśli dobrze sobie przypomina, tamten wygląda na człowieka w jego wieku, no, może być ciut młodszy. Chociaż sądząc po tym, jak niezdarnie wysiadał z samochodu... Kto wie, może też ma coś z kolanem.

Jeszcze zacznie się zalewać na stare lata.

A co mu innego pozostało?

Skąd u diabła wziął się tutaj ten obraz? Niewątpliwie sam go musiał w tym miejscu powiesić, ale tego też, cholera, za nic sobie nie przypomina. Ten sposób mówienia Anny, kiedy była lekko wstawiona! Zaczynała niewinnie, drocząc się z nim i mówiąc na przykład: „zażycz sobie jeszcze kieliszczek”, bo wiedziała, że czuje nieodparty wstręt do pretensjonalnie idiotycznych wyrażen w rodzaju „zażyczyć sobie”. Biada, jeśli dał się wciągnąć w tę grę, wtedy się dopiero zaczynało. Jej oczy nabierały wówczas takiego samego, trudnego do określenia wyrazu, jak w czasie ich nocy poślubnej, i patrzyła na niego w taki sposób, że nagle czuł się przy niej jak mały niedoświadczony chłopiec. Wciąż jeszcze dokładnie pamięta ten wieczór, kiedy naprawdę się zezłościł; siedzieli wtedy przy kolacji i nagle Anna zawołała:

— Mam straszną ochotę zalać się jak świnia i taka ululana się z tobą kochać!

Oczywiście powiedziała to tylko po to, żeby się z nim drażnić, ale wszystko jedno. Nawet kiedy dobiegała już sześćdziesiątki, nadal potrafiła go jeszcze w ten sposób zaskoczyć. Czyżby kobiety dłużej zachowywały popęd niż mężczyźni?

Nigdy się nad tym właściwie nie zastanawiał.

Jego Anna w łóżku, to zupełnie odrębny rozdział.

Nieobliczalna, kapryśna Anna. Zdarzało się, że przez dłuższy

czas, kiedy jej na to po-zwalał, chciała się z nim kochać codziennie, a potem nagle znów całe tygodnie nic, unikanie, zmęczona i niedysponowana.

Czy wtedy tamten z nią...?

To chyba niemożliwe?! Anna z innym mężczyzną? On nigdy jej nie zdradził i to bynaj-mniej nie dlatego, że nie miał okazji. Nigdy nie czuł takiej potrzeby, mimo że możliwość nieraz by się znalazła. W końcu nie bez kozery uchodził za przystojnego. Choćby na przykład ta sekretarka Klunderta, jakże ona się nazywała? Boże, co za nogi! Ta to się dopiero przysta-wiała! No bo jak inaczej wytłumaczyć, że akurat do niego zgłosiła się wtedy z tą sprawą.

— Ach, panie Van der Brug, czy znalazłby pan dla mnie chwilkę czasu? Pan Klundert ma jutro bronić, a ja nie mogę rozwikłać jednej rzeczy w aktach.

A potem stanęła taka apetyczna tuż przy nim, inaczej niż jego własna sekretarka, nie po drugiej stronie biurka, tylko, psiakostka, tuż obok. Zaraz przy następnej okazji oznajmił jej wprost, żeby sobie za wiele nie obiecywała. „Panno Staal”, powiedział, o właśnie tak się nazywała, ciekawe, że sobie jednak przypomniał, „panno Staal, ja naprawdę nie mam dla pani czasu, proszę poczekać z tą sprawą aż wróci pan Klundert”.

Ile to już lat minęło. Był wtedy jeszcze całkiem młody. Aż śmieszne, kiedy sobie po-myśli, że panna Staal pewnie też jest teraz w jakimś domu starców, albo, kto wie, może nawet nie żyje.

Nie myśleć o tym.

A jak kręciła tyłeczkiem odchodząc. No właśnie, Anna by z pewnością powiedziała: „Ładna dupcia”. To znaczy, nie tak normalnie, tylko... znaczy... trochę mu się miesza w głowie... gdyby była po winie. Odnosiła naczynia do kuchni, wołała do gosposi, że nie jest jej teraz potrzebna, potem szła do drzwi kręcąc tyłeczkiem dokładnie tak, jak ta szelma Staal i pytała go zmysłowym tonem:

— No i co, nie ładną mam dupcię, panie doktorze prawa?

Aż musiał się uśmiechnąć. Ileż on by dał za to, żeby teraz ni stąd ni zowąd weszła do tego pokoju i powiedziała jak wtedy, za pierwszym razem:

— Idę już na górę.

Teraz jednak musiałoby to brzmieć „tu obok”, bo nie było już „na górę”. Dwa pokoiki, kuchnia i łazienka, tylko tyle mu zostało, a

wszyscy jeszcze mówią, że i tak nie ma powodów do narzekania. Że mogłoby być gorzej.

Jakby go to coś obchodziło.

Tę ekscentryczność miała po ojcu, nie po matce. Znakomity człowiek, ale kompletnie zwariowany. Tryskający radością, trochę może zbyt hałaśliwy, zawsze pełen pomysłów. Nie był stworzony do siedzenia w jednym miejscu; w ciągu kwadransa potrafił zrobić więcej niż inni przez cały dzień. Anna była w ojca zapatrzona, a kiedy umarł, bardzo ją to załamało. Dla niego przez całe miesiące niedostępna w swoim smutku. Płacząca kobieta. Rzadko kiedy człowiek czuje się bardziej niezręcznie niż w obecności płaczącej kobiety. Jeśli w dodatku nie można jej pocieszyć. Nigdy nie czuł się jakoś specjalnie związany z jej ojcem, stąd też, oczy-wiście, byłoby mu trudno szczerze ją pocieszyć. Zgoda, nie żył długo, ale przecież każde dziecko wie, że jego rodzice muszą kiedyś umrzeć. Tak to już jest, on też bardzo przeżył śmierć swojej matki, ogromnie bolesna strata, bo była niezwykle szlachetną kobietą, ale przychodzi w końcu taka chwila, gdy należy sobie powiedzieć: — Dość, wystarczy, trzeba jakoś żyć dalej.

Taki jest obowiązek każdego z nas jako człowieka, powinno się swój smutek zachować dla siebie. On przynajmniej zawsze tak postępował. Ale Anna była ogromnie spontaniczna i uczuciowa, potrafiła przejąć się najmniejszym drobiazgiem, psem potraconym na ulicy przez samochód, dzieckiem sąsiadów, które rozbiło sobie głowę. Boże, jak ona to wszystko przeżywała! Czasami zdarzały się sytuacje, że aż musiał powiedzieć jej parę słów do słuchu, oczy-wiście wyłącznie dla jej dobra.

Na wiele spraw człowiek uczy się odpowiednio reagować dopiero w miarę jak przybywa mu lat. Prawdopodobnie dziś umiałby znacznie lepiej pocieszyć Annę, niż wówczas.

Sześćdziesiąt lat, co to jest sześćdziesiąt lat?

Mogli jeszcze być razem bardzo długo, któż by przypuszczał, że to on ją przeżyje? Taka myśl jest zawsze trochę dziwna, ale właściwie, oceniając rzecz zupełnie obiektywnie, to nawet lepiej się stało, że to on został sam. Anna była przecież tak niesamodzielną, trudno byłoby jej żyć samotnie. Oczywiście mówiła, że świetnie dałaby sobie radę, ale mówiła tak jedynie dlatego, żeby on się tym nie zadręczał.

— Naprawdę nic mi się nie stanie, jeśli ciebie zabraknie —

powiedziała kiedyś. — Ja nigdy nie czuję się samotna, bo śnię sobie drugie życie.

Przypomniał sobie to zdanie zupełnie nagle, ponieważ nigdy dotąd o nim nie myślał. Wtedy nie rozumiał, co ona chciała przez to powiedzieć, bo jemu na ogół nic się nie śniło, a poza tym Anna często mówiła rzeczy dla niego niezrozumiałe. Rzadko kiedy głębiej się nad nimi zastanawiał, każdy człowiek ma prawo mieć swoje własne życie, a on nigdy nie był ciekawski. Wiedział, że może jej całkowicie zaufać, szanowała go; on z kolei miał swoją pracę, co dla Anny też w końcu było rzeczą oczywistą. Jego praca była jego światem, i choć Anna mogła się nią nawet interesować, i tak w ostatecznym rozrachunku był to wyłącznie jego świat. Dlatego też rozumiał, że i ona potrzebuje mieć coś tylko dla siebie.

Jeden mniej, inny więcej, ale każdy człowiek tego potrzebuje.

Teraz to już chyba naprawdę się upił.

W jego głowie kłębią się zdania, które usiłuje odepchnąć od siebie za wszelką cenę, ale nie ma już na to dość siły. Nie rozumiejąc, co się z nim dzieje, zaczyna głośno do siebie mówić.

— Anno — mamrocze — Anno, ja ciebie nie pojmuję.

Głowa opada mu w tył, z kącika oka wypływa łza.

Płacze.

Chce wytrzeć twarz, ale w jednej ręce trzyma niedopałek cygara, a w drugiej szklanekę.

Potem z wolna dochodzi do siebie.

Chwiejnym krokiem zmierza do komody. Drżącymi palcami wyciąga szufladę, wyjmując album ze zdjęciami. Łzy ciekną mu po policzkach, zataczając się wraca do okna i opada ciężko na fotel. Trochę whisky wylewa się na spódnie, głowa znów opada mu w tył, otwiera album, ale jego oczy nadal patrzą w sufit.

— Anno, Anno — szlocha. — Czemu mi to zrobiłaś?

Siedzi tak prawie przez pół godziny, bez końca powtarzając to jedno zdanie.

Wreszcie opuszcza wzrok na zdjęcie w albumie.

Na zdjęciu jest on sam.

* * *

Następnego dnia czuje piekący wstyd.

— To się już nie może powtórzyć. Wszystko przez tę cholerną whisky, którą w siebie wlałem.

Ciska pustą butelkę do kubła na śmieci. W czasie śniadania dochodzi do wniosku, że musi coś ze sobą zrobić.

— Chyba zadzwonię do Janssenów — zastanawia się. — W sobotę wieczorem prawie zawsze siedzą w domu, może zaproszą mnie na kolację?

Nie chce już myśleć o minionych dniach, od tej chwili skoncentruje się na jednej tylko sprawie: na niedzielnej wizycie.

— Jakby tak dalej poszło, to w niedzielę urobiłby mnie na wosk. Całe szczęście, że w porę się opamiętałem.

* * *

— Jesteś pewien? Specjalnie zamroziłem dla ciebie trochę jałowcówki.

— Nie, nie, naprawdę. Ostatnio prawie w ogóle nie pijam — odpowiedział pośpiesznie.

Jenssenowie istotnie zaprosili go na kolację.

— Chyba nic ci nie jest? — pyta stroskana Hermance.

— Póki co nie narzekam, czuję się znakomicie, ale zawsze nietęgi był ze mnie partner do kieliszka.

— No, a co tam w ogóle słyhać? Wybrali cię w końcu na tego przewodniczącego rady?

Zdumiony, przez moment zastanawia się, czy rzeczywiście aż tak długo się nie widzieli.

— Istotnie, a ty skąd wiesz?

— No jak to, swego czasu wspominałeś nam co nieco o sprawie, tak, tak, nawet dene-rwowałeś się jeszcze, czy nie przepadniesz w głosowaniu.

— A ty skąd wiesz takie rzeczy?

— Patrz, Hermance, ale Coen dał się nabrać. Nie, nie, bracie, ja tylko żartowałem, zre-sztą widzieliśmy się już potem parę razy. Starzejesz się, przyjacielu, dawniej zaraz byś zwie-trzył podstęp.

Strasznie go to wkurzyło i zaczyna żałować, że tak bardzo chciał spędzić z nimi ten wieczór.

Dopiero po kolacji — na domiar złego Hermance nigdy nie nauczyła się dobrze goto-wać, mięso było zbyt spieczone, a do sałaty

dodała za dużo oleju — rozmowa schodzi na Annę. Theo przypiął się ostro do butelki, znał go już od tej strony, pewne będzie chciał potem porozmawiać od serca.

— Właściwie to bardzo wrażliwy z niego człowiek — stwierdziła kiedyś Anna. — Ma dłonie artysty.

Nie potrafił jakoś dostrzec w nim nic z artysty, a i wrażliwość Theo zasadniczo różniła się od jego własnej, ale Anna zawsze charakteryzowała innych w specyficzny sposób. Jeśli zaś idzie o Hermance, to bardzo ją lubiła, od pierwszej chwili związała się między nimi nić sympatii. Kiedy spytał Annę, co jej się tak w Hermance podoba, odpowiedziała:

— Ona przynajmniej bierze innych takimi, jacy są.

Jakkolwiek Hermance nie była za bardzo w jego typie — miała na to zbyt pucołowate i rumiane policzki — on także ją lubił. Tyle, że powinna jednak nauczyć się lepiej gotować.

Theo pochwalił Hermance słowami „pyszne było, mamuśka”, po czym zwrócił się do niego:

— Powiedz no, Coen, tak rzadko się widzimy, radzisz sobie jakoś sam?

Pytanie jest dla niego zaskoczeniem, nie znosi takiej bezpośredniej indagacji.

— Ach, no cóż, jak by ci tu powiedzieć — lawiruje. — Sam to sam, prawda, jak człowiek z kimś żył przez czterdzieści lat, to trudno zaprzeczyć, że to zasadnicza różnica.

Wchodzi Hermance z kawą, pyta, czy panowie zostają przy stole, i kiedy on potwierdza skinieniem głowy, przysiada się do nich.

— O czym rozmawialiście?

— Pytałem właśnie Coena, czy jakoś sobie radzi bez Anny.

Hermance rzuca Theowi karcące spojrzenie, a na niego patrzy taksująco i mówi zdecydowanie:

— Jeśli już ktokolwiek może sam sobie dać radę, to właśnie Coen.

Co powinien na to odpowiedzieć? Skąd ona wie, że jemu jest dobrze samemu. Na co ludzie sobie pozwalają? W końcu aż tak blisko się nie znali, jemu nawet do głowy by nie przyszło wypowiadać takie sądy o innych.

Po ich spojrzeniach widzi, że czegoś oczekują, nie uda mu się wykpić jakimś frazesem, ale kiedy tak patrzy bezradnie na Hermance,

uświadamia sobie, że ma wielką ochotę podzielić się z nimi wydarzeniami ostatnich dni, że tak naprawdę przyszedł tu po to, żeby się „wywnę-trzyć”. To, że oni oboje tak długo znali Annę sprawia, że nagle czuje z nimi jakąś więź, czego jeszcze nigdy dotąd nie zaznał.

— Jak nie będę uważał, to jeszcze się znowu rozbeczę — pomyślał.

Hermance wyczuwa tę jego niepewność, podsuwa mu miseczkę z czekoladkami i nale-ga po przyjacielsku:

— Weź proszę, Coen, jak sobie połasuchujesz, to ci dobrze zrobi.

Wzrusza go ta troskliwość.

Jej słowa są może proste, ale powiedziane z dobroci serca. Może to właśnie miała na myśli Anna twierdząc, że Hermance „bierze innych takimi, jacy są”?

— Zgadza się, to prawda, zupełnie dobrze jest mi samemu — przyznaje w końcu. — Ale są takie dni, że nie mogę sobie znaleźć miejsca.

Jak na niego, jest to wielkie wyznanie, Hermance i Theo nie wierzą własnym uszom.

— Niewiele małżeństw może powiedzieć, że prowadziły tak intensywne wspólne życie, jak wy dwoje — mówi Theo. — Oczywiście, głównie dzięki temu, że nie mieliście dzieci.

— Nie wydaje mi się, żeby to zależało od faktu posiadania dzieci — oponuje Herma-nce.

— Doskonale rozumiem, co Theo miał na myśli — łagodzi. — Ale z drugiej strony są-dzę, że w stwierdzeniu Hermance, iż mając dzieci także można prowadzić intensywne wspó-lne życie, też jest sporo racji.

Anna powiedziałaaby pewnie w tym momencie:

— Ty naprawdę mogłeś zostać tylko adwokatem, bo zawsze ze wszystkimi się zga-dzasz.

Ileż to razy próbował jej wytłumaczyć, że uważne słuchanie drugiej strony w poszuki-waniu obiektywnej racji, nie oznacza automatycznie, że człowiek ze wszystkim się zgadza.

Jego myśli znowu wracają do Anny. Przed czterema laty, w drugi dzień Świąt Wielka-nocnych, siedzieli tu wszyscy czworo, Anna cichutka naprzeciw niego... Musi uważać, bo jak ta rozmowa potrwa jeszcze dłużej, to zupełnie się rozsypie. Żeby zmienić temat, pyta o ich najmłodszego syna, który zaczął właśnie bliżej nieokreślone

studia. Theo z miejsca wygłasza gwałtowną tyradę potępiającą całą dzisiejszą młodzież, a studentów w szczególności, Hermance zaś tylko z rzadka udaje się wpaść w słowo z jakąś łagodzącą ton jego wypowiedzi uwagą.

Nie powracają już w rozmowie do Anny. Trochę tego żałuje, kiedy w końcu przychodzi pora się pożegnać.

Obiecuje, że niedługo znów wpadnie, zapewnia jeszcze raz, że kolacja była wyśmienita, chwali wino dobrane przez Theo i pospiesznie wychodzi za próg. Gdy Theo proponuje, że go podwiezie, wymawia się czym prędzej, mówiąc:

— Z przyjemnością się przejdę, mały spacerek dobrze zrobi staremu człowiekowi.

Przed pójściem spać Hermance mówi do Theo:

— Z Coenem nie jest najlepiej, po raz pierwszy w życiu słyszałam, że nazwał się „sta-rym człowiekiem”, a co jeszcze dziwniejsze, przez cały wieczór w ogóle nie mówił o sobie.

* * *

Nareszcie niedziela.

Początkowe niezadowolenie z wczorajszych odwiedzin szybko przerodziło się w radość, że jednak zdołał się opanować.

— Teraz to już na pewno jakoś sobie dziś poradzę.

Jest zupełnie spokojny, chociaż nie, „spokojny” to nie jest dobre określenie, rzekłby wręcz, że jest „nieważki”. Tak samo czuł się przed wygłoszeniem mowy obrończej, a jeszcze dawniej, przed ważnymi egzaminami. Człowiek tygodniami przygotowywał się na ten wielki moment, a kiedy wreszcie ów nadchodził, osiągał pewnego rodzaju stan nieważkości, w którym miał swobodę ruchu w dowolną stronę.

Nadal ma jeszcze taką pełną swobodę ruchów.

Może, na przykład, nie przyjąć dzisiejszego gościa.

Ale wtedy nigdy już się nie dowie, kim jest ten drugi. W przyszłym roku pójdzie na grób Anny jeszcze wcześniej, a po paru latach w ogóle zapomni, że kiedykolwiek leżał tam drugi bukiet róż. Poza tym, kto wie, może już niedługo pociągnie. Wprawdzie, pomijawszy te bóle w kolanie, wciąż czuje się zdrow jak ryba, ale jak się ma siedemdziesiąt dwa lata, to trudno liczyć, że się jeszcze będzie nie wiadomo jak długo żyło.

Na szczęście Anna w ogóle nie poczuła śmierci. Siedział przy niej do ostatniej chwili licząc na to, że może odzyska przytomność, ale umarła w nieświadomości. Te pełne napięcia chwile oczekiwania, kiedy Anna wyda ostatnie tchnienie. Siostra dwukrotnie przygotowywała go na ten moment, ale za każdym razem okazywało się, że to jeszcze nie koniec. Siedząc przy jej łóżku, po raz pierwszy namacalnie uświadomił sobie znaczenie słowa „koniec”. Oto siedział i czekał na koniec trwającego nieprzerwanie czterdzieści lat wspólnego życia. Anna oddychała lekko, wbrew zdrowemu rozsądkowi nadal wierzył w jakiś cud, przeszkadzało mu, że nie są sami, chciał ująć dłonie Anny w swoje ręce, ale powstrzymywała go obecność kobiety, która z racji swego zawodu także była świadkiem ostatnich minut życia Anny.

W pewnym momencie siostra pochyliła się w jego stronę i powiedziała zdecydowanym głosem:

— Teraz już pójdzie szybko.

Poczuł, jak wzbiera w nim krzyk, zapragnął przytulić Annę do piersi, lecz nadal siedział nieruchomo, czekając na jej koniec, a także koniec jego życia, bo to jest przecież oczywiste, że choć teraz siedzi sobie tutaj jak u pana Boga za piecem, nie jest to jednak nic innego niż tylko odroczenie egzekucji.

A właściwie, jaka to dla niego różnica, kim jest ten człowiek? Cóż za idiotyczna zawo-dowa skrupulatność każe mu jeszcze dociekać prawdy? Nie, nie może do tego tak podcho-dzić, od razu by mu to wytknięto, bo prawda sama rzuca się w oczy. Skoro proces zaczął się już toczyć, to on jest ostatnim człowiekiem, który byłby skłonny chować głowę w piasek. Niech sobie ten pan Blink przychodzi, będzie jednak musiał przedstawić nie byle jakie dowo-dy, zanim on przyjmie do wiadomości, że Anna pozostawała w nim w intymnych stosunkach. Nie wystarczy przypadkowy bukiet białych róż.

Kiedy punktualnie o piątej dzwoni dzwonek, on nadal jest w takim właśnie sztucznie wywołanym nastroju pewności siebie.

Nie otwierać za szybko, niech sobie poczeka, spokojnym krokiem do drzwi.

Ubrał się na tę wizytę starannie. Zazwyczaj nosi w niedzielę blezer i flanelowe spodnie, tym razem włożył granatowy garnitur. Dawniej, kiedy miał pewność, że nikt do nich nie przyjdzie, chodził

po domu w swetrze, żeby zrobić Annie przyjemność.

Od tego kompromitującego dnia, którego nie chce nawet pamiętać, nie wypił ani kropli i postanowił, że w czasie wizyty także nie weźmie alkoholu do ust. Kupił jakiejś napoje chłodzące, Anna często zamawiała w kawiarni coca-cole, tymczasem to, co on przyniósł, to jakieś zupełnie świństwo. W ogóle nie znał tej lury, którą dał sobie wcisnąć.

— Jeszcze pan wróci, żeby dokupić — zapewniał ten prostak ze sklepu. No, zobaczy-my.

— Dzień dobry, panie Van der Brug.

Wyciągnięta dłoń, której nie zauważa.

— Proszę, niech pan wejdzie, czekałem na pana.

Pierwszy wchodzi do maleńkiego przedpokoiku. Ech, żeby tak mieszkał w swoim dawnym domu, nagle czuje się nie na miejscu w tym ciasnym mieszkaniu. Zawsze miał upodobanie do przestronnych korytarzy, wielkich przedpokoi, olbrzymich salonów. Gdyby tak siedział teraz za swoim biurkiem i mógł powiedzieć wchodzącemu:

— Proszę chwileczkę zaczekać, zaraz pana przyjmę.

— Może pan powiesić płaszcz na wieszaku.

Od niechcienia wskazuje na wieszak, który teraz wydaje mu się zbyt wykwinny do tego mizernego korytarzyka.

Także i dzisiaj jego gość ma na głowie ten artystyczny kapelusz.

Wchodzi do pokoju i staje przy kominku. Żeby przydać sobie ważności nonszalancko spogląda na zegarek, który wy dobył z kieszonki kamizelki ze znacznie większą trudnością niż się spodziewał. Ma go dziś po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Annie jakoś nie przypadł do gustu.

— Kiedy go nosisz, taki wydajesz się surowy — powiedziała, darując mu na pięć-dziesiąte urodziny zegarek na rękę. A dziś wieczorem właśnie chciał wydać się surowy.

— Proszę, niech pan siada, gdzie panu wygodnie.

— A które jest pańskie miejsce?

— To bez znaczenia. Najczęściej odpoczywam w tym fotelu pod oknem, ale nie musi się pan tym przejmować.

— Nie, nie, wykluczone, usiądę tutaj.

Gość nie wygląda na zdenerwowanego, mniej ma w sobie z artystycznego cygana niż mu się wydawało na cmentarzu, wysławia się znakomicie. Porządny garnitur, przyjemne buty, nieco zawadiackie

nakrycie głowy, oprawki okularów zbyt młodzieżowe, sygnet z herbem, może być kupiony; trudno ocenić, co to za człowiek. Zwykle można to poznać po skarpe-tkach, ale w tym wypadku nawet one nic nie zdradzają. Gładkie szare skarpety do szarego garnituru, trudno mieć jakieś zastrzeżenia. Klundert zawsze nosił pod togą najbrzydliwsze skarpeciska, wstyd było patrzeć.

— Napije się pan czegoś?

— Chętnie.

— Czego panu nalać?

— Może szklaneczkę czegoś mocniejszego, jeśli pan dysponuje.

Nie zgrywaj się, człowieku, czy ja już wyglądam na takiego, który nawet alkoholu w domu nie ma?

— Może być dobrze schłodzona jałowcówka?

— Tak, bardzo proszę.

Stara się zachowywać wobec gościa z dystansem, żeby całe spotkanie wypadło bardzo chłodno, ale nie może powstrzymać się od myśli: — On znał Annę!

Deprymuje go, że nie potrafi od razu zaklasyfikować człowieka, wolałby mieć do czy-nienia z jakimś kompletnym łachmytą, bez względu na to, jak bardzo obrażałoby to jego pa-mięć o Annie, ale prostacka powierzchowność, niechlujny język czy pospolite ubranie zna-cznie ułatwiłyby mu ocenę sytuacji i pozwoliły z miejsca nabrać do tego człowieka antypatii.

A tymczasem on okazał się człowiekiem niewątpliwie obytym, umiejącym się zachować, jednym słowem kimś na jego poziomie.

— Ty z tym swoim „ludzie na naszym poziomie” — pokpiwała z niego Anna, lecz on i tak nie przestawił się na ten nowomodny zwyczaj traktowania wszystkich w jednakowy sposób. Oczywiście, nie ma już powrotu do czasów wasali i niewolników, ale w końcu trzeba zachować jakąś hierarchię ważności. Zawsze był uprzejmy wobec swoich podwładnych, co wcale nie oznaczało, że powinien posuwać się aż do tego, by zapraszać ich do siebie, do domu. Trochę dystansu nigdy nie zawadzi.

— Proszę bardzo, pańska jałowcówka, mam nadzieję, że dobrze schłodzona?

— Chyba prosto z zamrażalnika?

— Postawię panu tutaj, a sam poprzestanę na tej lurze.

— Nie pija pan alkoholu?

— Rzadko, kieliszeczek wina do posiłku, *that's all*.

Gość rozgląda się po pokoju. Który z nich zacznie? Chyba nie jest o wiele młodszy od niego, tyle że ta łysina oczywiście go postarza. Jeśli już o to idzie, on sam nigdy nie miał z włosami najmniejszych kłopotów, wprawdzie nie są one już tak gęste jak dawniej, ale i tak wciąż jeszcze ma czuprynę co się zowie.

— Ładnie tutaj, bardzo przyjemne mieszkanko.

— Cóż, nie mogę narzekać, aczkolwiek po naszym przestronnym domu wydaje się ciasnawe.

— Ma pan uciążliwych sąsiadów?

— Nie, co to, to nie, stosunki mamy dobre, nie ma mowy o narzucaniu się sobie nawza-jem. Poza tym budynek nie jest bardzo akustyczny, tak że niewiele słychać przez ściany.

Jak długo to będzie jeszcze trwało?

Musi sobie jednak nalać coś mocniejszego, tej słodkiej lury nie sposób pić.

— Piękny obraz. To chyba Breitner, prawda?

— Istotnie. Z wczesnego okresu twórczości. Bardzo jestem do niego przywiązany, mo-ja...

O mały włos powiedziałby „moja żona niezbyt go cenila”, ale zdążył się powstrzymać.

— Mój dziadek znał Breitnera osobiście. Bardzo dziwny człowiek.

— Pański dziadek?

— Nie, Breitner.

Napięcie jest już nie do wytrzymania.

— Zapali pan?

— Proszę sobie nie robić kłopotu, mam swoje.

— Mogę panu zaproponować cygaro, papierosów w moim domu nie ma.

— Doskonale rozumiem. Ja niestety jakoś nie mogę się odzwyczaić.

— Dużo pan pali?

— Obawiam się, że niemal paczkę dziennie.

— O, to znaczy dwadzieścia.

— Teraz w paczce jest dwadzieścia pięć.

— Nie wiedziałem.

— Cóż, w końcu pan nie pali...

— Nigdy nie rozumiałem tego nałogu.

— No widzi pan. Ale skoro już dożyłem z tym do sześćdziesięciu sześciu lat, co to dla mnie za różnica?

Acha, więc ma sześćdziesiąt sześć lat. Niewiele się pomylił. Ale wygląda na starszego. Jeden z nich musi zacząć, bo w ten sposób można głądzić w nieskończoność. Niech tam, on przejmie inicjatywę, jest w końcu starszy.

— O ile dobrze zrozumiałem, chciał pan ze mną rozmawiać.

Jego gość odetchnął z wyraźną ulgą, pociągnął spory łyk, jego kieliszek jest pusty, pochylił się do przodu w fotelu, nogi rozstawione, nerwowo obraca sygnet na palcu.

— Istotnie, tak, bardzo chciałem z panem porozmawiać. Kiedy we wtorek zobaczyłem na grobie Anny bukiet białych róż, nagle pomyślałem sobie: .to przecież kompletny idiotyzm, oto grób Anny, na grobie róże od jej męża, takie same białe róże jak moje, Anna od trzech lat nie żyje, i te kwiaty to jedyny znak, że po świecie chodzi dwóch ludzi, którzy...”

Waha się, rozgląda się bezradnie i z westchnieniem kontynuuje:
— ... którzy ją kochali. Nie znają się, są dla siebie obcy. I wtedy pomyślałem sobie, dlaczego ci dwaj, którzy długo już pewnie nie pożyją, nie mieliby się ze sobą spotkać? Może to i dziwny pomysł, ale przy-szło mi do głowy, że Anna też by tego chciała.

— Tak pan wtedy pomyślał?

Wyrwało mu się to mimo woli.

Gość wzdrygnął się lekko, opadł na oparcie fotela i odrzekł:

— Tak, właśnie wtedy zacząłem się nad tym zastanawiać.

— Jeszcze kieliszeczek?

— Z przyjemnością.

A może i on by się napił?

Wykluczone, żadnego alkoholu.

Czemu ten człowiek patrzy na niego jak na przybysza z obcej planety?

— Postawię tutaj. Zje pan może coś?

— O nie, bardzo dziękuję, muszę dbać o linię.

Rzeczywiście, jest nieco za tęgi.

— Muszę powiedzieć, że istotnie pański telefon nieco mnie zaskoczył i wcale nie jestem pewien, czy zgodziłbym się na tę rozmowę, gdyby nie zaskoczenie. Anna nie żyje, nie mam już nic

prócz wspomnień i wolałbym, aby pozostały nie zbrukane.

Tego ostatniego zdania nie przygotował sobie wcześniej, niemniej jednak jest zadowolony.

— Doceniam to, że mówi pan tak otwarcie, ale przyznam, że właśnie dlatego cała ta sprawa staje się dla mnie bardziej zagmatwana.

— Jak to? Nie bardzo rozumiem.

Mężczyzna jest zbity z tropu, kręci się w fotelu, zaciąga się głęboko raz za razem, nie odstawia kieliszka na stolik.

— No, bo wie pan, w ciągu tych wszystkich lat Anna opowiadała mi co nieco o panu...

— I obraz mojej osoby, który pan sobie stworzył, nie za bardzo przystaje do rzeczywistości, czy tak?

— W tym właśnie rzecz.

Przez chwilę myśli sobie, że gdyby ta rozmowa nie dotyczyła Anny, byłaby dla niego prawdziwą ucztą. To igranie słowami, przenikanie i unicestwianie argumentacji drugiej strony, przechytrzenie przeciwnika było przecież jego żywiołem. Jednakże niezwykłość całej sytuacji polega na tym, że rozmowa toczy się właśnie na temat Anny. W dodatku rzeczą dla niego zupełnie niezrozumiałą jest to, że on, ten, który zawsze pogardzał uleganiem emocjom, nagle zaczyna się brakiem tych emocji martwić.

Więc jednak nie obejdzie się bez kieliszka.

— Chyba dotrzymam panu towarzystwa.

— Oczywiście. — Uśmiech zrozumienia sprzymierzeńca.

Co on sobie właściwie wyobraża, ten uśmiech jest zupełnie nie na miejscu, to jakieś kompletne nieporozumienie, ale, cholera jasna, robi mu się jednak trochę przyjemniej. Nareszcie może z kimś porozmawiać o Annie, chociaż ten człowiek mówi o niej tak, jakby wszystko było zupełnie oczywiste!

Pić małymi łyżkami, bez pośpiechu.

Patrzy gościowi prosto w oczy i proponuje:

— A więc, zacznijmy może od początku. Czego się pan spodziewa po naszej rozmowie?

Kompletna dezorientacja, niedowierzanie.

— Pan mi wszystko utrudnia, zmusza mnie pan do... jak to powiedzieć... chyba jednak nie uda mi się tego uniknąć, ale pan zdaje się, zapomina o jednej rzeczy, którą powinien pan sobie wyraźnie uświadomić, a mianowicie, że jedynym powodem, dla którego

szukałem z panem kontaktu jest to, że kochałem Annę. Jeszcze za jej życia była to dla mnie wyjątkowo męcząca sytuacja, mimo to nie dążyłem do spotkania z panem na wyraźne życzenie Anny, Może to zabrzmie dziwnie, lecz teraz, kiedy jej już nie ma, jest pan jedyną osobą, która... hm... która mnie z nią w jakiś sposób łączy. Wydawało mi się, że pan, podobnie jak ja, również czuje potrzebę, aby o niej porozmawiać.

— Pan ze swej strony również zdaje się zapominać o jednej rzeczy, a mianowicie o tym, że to ja byłem mężem Anny.

— A co to według pana zmienia?

Oj, głupi pomysł, powinien nadal pozostać w ataku, cały czas musi być przecież jasne, że nie on prosił o tę rozmowę, lecz ten drugi. Nie wikłać się w dyskusję. Próbuje uniku.

— Od kiedy trwał pański związek z moją żoną?

Lekkie zdziwienie. Dlaczego to pytanie go dziwi?

— Od 1938 roku, kiedy została przyjęta do szpitala.

— Jest pan lekarzem?

Znów to zdziwione spojrzenie.

— Tak, jestem lekarzem.

— Pan się wtedy zajmował moją żoną?

— Istotnie, operacja, którą przeszła, była dla niej bardzo wyczerpująca, kobiety różnie na to reagują. Anna była kobietą wyjątkowo wrażliwą, ona tak bardzo pragnęła mieć dzieci. Tuż przed jej przyjściem do szpitala straciłem w wypadku żonę i córeczkę, sądzę, że to wła-śnie nas do siebie zbliżyło. Opowiadała mi, jak strasznym będzie to dla pana ciosem, że nigdy już nie da panu potomka, więc nie chciałaby pana dodatkowo męczyć swoim zamartwianiem się. Dlatego próbowała jakoś się dźwignąć, ale oczywiście nic jej z tego nie wychodziło. Z tak ogromnego zmartwienia człowiek rzadko kiedy potrafi wyjść o własnych siłach, a już na pewno nie udałoby się to Annie, która była zupełnie bezbronna, choć sprawiała wrażenie silnej.

Na ustach mężczyzny pojawia się uśmiech.

Denerwuje go to

— Moja żona dobrze wiedziała, że nie zależy mi specjalnie na posiadaniu dzieci.

Gość pochylił się do przodu.

— Wcale tego nie wiedziała. Płakała po każdym pana

odwiedzina. Kiedy delikatnie pytałem dlaczego, odpowiadała ze smutkiem, że pan za wszelką cenę stara się nie okazać sła-bości. „Ach, gdyby choć raz zrzucił z siebie ten ciężar, żeby choć raz wyplakał się na moim ramieniu”, mówiła.

— Powtarzam panu raz jeszcze: moja żona wiedziała, że to jej jest mi żal, a nie siebie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy rozpaczać z tego powodu. Jeszcze raz mówię, że współ-czułem tylko i wyłącznie mojej żonie.

Niedowierzenie zmienia się w zdumienie.

— Nic z tego nie pojmuję, to przecież niemożliwe, żeby niewłaściwie pana zrozumiała, wprost nie wiedziała co robić, tak bardzo było jej pana żal. Przez całe życie byłem przekonany, że jej smutek wynikał raczej z obawy o pana, a nie ze świadomości, że ona nigdy nie będzie mogła mieć dzieci.

Nie ma zamiaru już dłużej udawać, bierze butelkę i napełnia oba kieliszki. Po krótkim wahaniu stawia butelkę obok siebie na podłodze.

— Niech pan mówi dalej.

— Dużo w tym czasie rozmawialiśmy, robiłem co tylko mogłem, żeby ją pocieszyć. Szczerze mówiąc, z czysto medycznego punktu widzenia, już po dwóch tygodniach można było wypisać ją ze szpitala, uznałem jednak, że lepiej zatrzymać ją jeszcze tydzień. Być może częściowo podyktował mi to egoizm, bo muszę przyznać, że myślałem także o sobie, ale jedno wiem na pewno: główną przyczyną było to, że — jak wywnioskowałem jednoznacznie z jej wypowiedzi — psychicznie wciąż nie był pan jeszcze dostatecznie przygotowany na jej powrót.

Zamierzał wtrącić sarkastycznie: „acha, więc byłem psychicznie nieprzygotowany na jej powrót”, opanował się jednak, po czym powiedział:

— Kiedy opuściła szpital, pan jednak nadal ją widywał, nawet wtedy, gdy wiele już wskazywało na to, że zarówno Anna jak i ja dorośliśmy psychicznie do całej sytuacji?

Wyśmienicie! Jednak zdobył się na to, żeby to powiedzieć, chociaż w nieco zawołowanej formie.

— Nie od razu. Stało się to dopiero pół roku później.

— Kto zabiegał o spotkanie?

Nie potrafił się powstrzymać od wcielenia się w swoją dawną rolę: wytrwałego poszuki-wacza obiektywnej prawdy. Cały czas musi

trzymać się wskazówek rozumu, jak dotąd popełnił tylko jeden błąd, co zresztą strasznie go irytuje, a to wtedy mianowicie, gdy zamiast użyć neutralnego określenia „moja żona”, powiedział „Anna”. A przecież z góry założył, że rozmowa będzie chłodna, klinicznie czysta. Drugi raz już mu się to nie zdarzy. A jednak to zdumienie w oczach gościa przez cały czas nie daje mu spokoju.

— Jak to zwykle bywa, nasze spotkanie było całkiem przypadkowe. Anna przyszła odwiedzić pańskiego kolegę... jeśli dobrze pamiętam, u was nazywa się to *confrère*...

— Dobrze pan pamięta, proszę mówić dalej.

— A więc, przyszła odwiedzić pańskiego kolegę, który leżał u nas po operacji.

— Nazywał się może Klundert?

— Nie przypominam sobie nazwiska, w każdym razie wtedy właśnie ponownie spotkałem Annę. Była tam po raz pierwszy od chwili, gdy wypisano ją z tego szpitala, bardzo dużo nerwów ją to kosztowało, zablądziła i trafiła nie na ten oddział, co trzeba, pokazałem jej więc, jak trafić do pokoju, w którym leżał pański kolega i poprosiłem, żeby zajrzała do mnie po skończonych odwiedzinach.

— Więc to pan zainicjował spotkanie?

Ciężkie westchnienie.

— Jeśli to dla pana takie ważne, proszę bardzo, rzeczywiście to ja chciałem się z nią spotkać.

Po raz pierwszy daje się u niego zauważyć pewne zniecierpliwienie.

— I potem moja żona przyszła do pana.

— Siedziała u pańskiego kolegi nieco dłużej, godziny odwiedzin już się skończyły. Powiedziała mi, że tak dobrze się rozumieją...

— To musiał być ktoś inny, Anna nie znosiła Klunderta. Zawsze uważała go za wyniosłego i chłodnego. Jeśli już kogoś nie lubiła, zwykle była to osoba pokroju Klunderta. Kiedy chciała mnie rozdrażnić, groziła, że będzie mówić do mnie „Klundert”, sam więc pan widzi, że pańska historyjka nie trzyma się kupy.

Jest wściekły, wściekły na siebie, na tego przemądrzalca z uśmiechem na ustach, ale także na Annę. Jest wściekły, bo doskonale wie, że w tym czasie Klundert leżał w szpitalu, coś z pęcherzem, w każdym razie to właśnie jego Anna poszła odwiedzić.

Aż za dobrze pamięta, że nawet o tym rozmawiali.

— Zdawało mi się, że nie lubisz Klunderta — zdziwił się, na co ona, pamięta jak dziś, odpowiedziała: — No bo nie lubię, ale w końcu to twój *confrère*, więc uważam, że skoro ty nie masz czasu, wypada, abym chociaż ja go odwiedziła.

Jednym haustem opróżnia swój kieliszek.

Jego gość nie daje się tak łatwo zbić z tropu.

— Jestem pewien, że jednak dobrze zrozumiałem. Anna, nazwijmy to tak, darzyła sym-patią pańskiego *confrère*, ale jeśli o mnie chodzi, uważam, że nie ma o co się spierać. No więc, Anna przyszła do mojego gabinetu, a ja zapytałem, co u niej słysząc. Wtedy wybuchnęła płaczem i powiedziała, że jest nieszczęśliwa, bo po operacji zapanował między wami jakich chłód i odnosi wrażenie, jakby pan miał jej za złe, że nie będzie już mogła mieć dzieci, a na koniec wyznała, że bardzo jej brakowało naszych rozmów.

— A pan oczywiście powiedział, że panu też ich brakowało?

— Odpowiedź jest chyba zbędna.

— I nie przeszkadzało panu, że jest mężatką!

— Niech pan nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków, nie jestem człowiekiem, który... Po pierwsze, istnieje coś takiego jak etyka zawodowa, a po drugie, ten wypadek samochodowy nie przeszedł przecież bez śladu. Moje małżeństwo było nad wyraz udane, moja córka... więc niech pan sobie nie wyobraża, że to, co było między nami, to tylko jakiś trywialny flirt. Nic nie mogłem poradzić — a proszę mi wierzyć, starałem się za wszelką cenę do tego nie dopuścić — że się w Annie zakochałem. Początkowo być może dlatego, że nie potrafiłem znieść samotności, ale w każdym razie na pewno nigdy nie było to z mojej strony szukanie przygody. Wkrótce moja miłość stała się tak silna, że pogodziłem się nawet z koniecznością dzielenia się Anną z innym mężczyzną.

— Pan się nauczył dzielić Annę z... innym mężczyzną? Czy panu się czasem coś nie pomyliło?

Jak długo jeszcze zdoła nad sobą panować? Ten jego cierpliwy ton, zawodowy rozsądek, oszaleć można.

— Potrafię zrozumieć, że pan na to patrzy zupełnie inaczej, ale niech pan łaskawie wejdzie w moje położenie. Anna była przecież nieszczęśliwa, ona...

— Co mi pan tu opowiada? Anna nieszczęśliwa? Skąd panu to

przyszło do głowy, kto to panu powiedział? Nasze małżeństwo było idealne pod każdym względem, więc powinien pan sobie uświadomić — a mówię to tylko dlatego, że pan sam ma odwagę używać tak wielkich słów — otóż, powinien pan sobie uświadomić, że ja Annę kochałem i to bardzo kochałem, każdy dzień bez niej w tym zasranym domu to dla mnie tortura, czy pan to rozumie, czy rozumie pan, co to znaczy, kiedy po czterdziestu latach wspólnego życia człowiek nagle zostaje sam jak palec?

Wszystko się w nim burzy. Jak ten typ śmie w ogóle twierdzić, że Anna była nieszczęśliwa? Rozpaczliwe usiłuje podnieść się z fotela, lecz kolano boli go jak nigdy przedtem. Nerwowo przygryzając wargi chwyta butelkę, napełnia kieliszek wylewając przy okazji sporo na stolik, ale teraz jest mu już wszystko jedno.

Anna nigdy nie chciała nalewać, nie potrafiła napełnić kieliszka, żeby nie poplamzić obrusa.

— A co to za problem? — mówiła wtedy ze śmiechem. — Posypie się solą i spokój. W końcu właśnie dzięki soli się poznaliśmy.

— Niech pan się nie denerwuje, bardzo pana proszę. Może mi pan wierzyć, ta rozmowa jest dla mnie równie wyczerpująca jak dla pana, ale ze względu na Annę...

— Co ze względu na Annę? — przerywa mu ostro. — Anna nie żyje, panie Blink, umarła, leży w grobie, pochowana, koniec, kropka. Zostaliśmy tylko pan i ja, wszystko, o czym tu rozmawiamy, nie ma już znaczenia. Co pan ma na myśli mówiąc „ze względu na Annę”?

— Wydaje mi się, że Anna... może to zabrzmie sentymentalnie, doskonale zdaję sobie sprawę, wydaje mi się jednak, że Anna na pewno ogromnie by się ucieszyła wiedząc, że się spotkaliśmy i dzięki temu obaj mamy dla niej teraz więcej zrozumienia.

— Zrozumienia?! — wykrzyknął zdumiony.

— Tak, właśnie zrozumienia. Przysporzył jej pan wielu zmartwień.

— A pan, to nie?

— Ja oczywiście również.

Znów ten porozumiewawczy uśmiech, nie ma już swobody ruchów, zabrano mu wszystko, nawet wspomnienia. Wszystko, co przez całe życie należało tylko do niego, wszystko, co było treścią jego życia, ten oto człowiek chce mu odebrać.

Już mu to odebrał!

— To, co pan przed chwilą powiedział, to kłamstwo. Anna i ja byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Ona była dla mnie wszystkim. Gdyby kiedykolwiek, choć przez moment była z jakiegoś powodu nieszczęśliwa, na pewno by mi o tym powiedziała. Mieliśmy do siebie pełne zaufanie, absolutnie nie pojmuję, jak pan może twierdzić, że ona była nieszczęśliwa.

— A zatem uważa pan, że Anna byłaby zdolna utrzymywać przez całe swoje życie związek z drugim mężczyzną, traktując to jako przygodę? Jeśli pan tak uważa, to chyba rzeczywiście niezbyt dobrze pan ją znał.

Nie wie, co na to odpowiedzieć.

Cóż zostało człowiekowi, który ma poczucie, że wszystko mu odebrano, jeśli nie litość nad samym sobą?

Jeszcze nigdy w życiu nie prowadziłem tak trudnej rozmowy, myśli. Choć każde słowo, jakie dotąd padło, dotyczyło Anny, ona sama jakby nagle znikła. I on, który w ciągu tych kilku ostatnich dni poczuł się z nią związany bardziej niż kiedykolwiek przedtem, został sam. Nie zna tego swojego drugiego ja, które dopiero teraz zaczyna z wielkim trudem formułować słowa:

— Anna nie lubiła zbytnio tego Breitnera, szczerze mówiąc ja też się nim nie zachwycałem, ale...

— ... jest to bardzo cenny obraz.

Zmęczonym wzrokiem patrzy na gościa.

— Chce pan przez to powiedzieć, że z tego powodu powiesiłem go na ścianie?

— Tak uważała Anna.

— A więc rozmawiała o tym z panem.

— Opowiadała mi o wszystkim.

— I pana to dziwi, że ktoś wiesza na ścianie coś, co przedstawia pewną wartość? A jeśli panu powiem, że ten obraz odziedziczyłem po ojcu?

— Nie znam pańskiego stosunku do ojca, wiem tylko tyle, że Anna bała się tego obrazu, ona nie lubiła morza...

— Co pan w ogóle opowiada? Anna nie lubiła morza? A ten rejs wokół Wysp Kanaryjskich? Sprawił jej przecież przyjemność.

— Panu sprawił przyjemność.

Patrzy na swego gościa przez dłuższą chwilę. Nigdy dotąd jego niechętny stosunek do drugiego człowieka nie wykraczał poza

lekceważenie, teraz, po raz pierwszy, czuje niena-wiść.

— Pozwoli pan, że o coś zapytam. Czy przyszedł pan tu po to, żeby się zemścić?

— Nigdy nie przyszłoby mi to nawet do głowy. Mówiłem już panu, chciałem się z pa-nem spotkać przez wzgląd na moją miłość do Anny. Pomyślałem sobie, że pan prawdopodobnie także ją kochał, więc być może w tej naszej miłości do Anny znajdziemy coś wspólnego i w ten sposób rozjaśnimy nieco nasz smutek z powodu jej odejścia. Może to i naiwna myśl, ale był to jedyny powód.

— Mówi pan, jakby właśnie pan odkrył, że ja Anny nie kochałem.

— Czemu jest pan tak wrogo do mnie nastawiony? Gdyby Anna nie była przekonana o pańskiej miłości, to by z panem nie została.

— Nie rozumiem. Może mi pan to wyjaśni.

— Anna uważała, że jest dla pana wszystkim, dlatego poświęciła się dla pana. W swojej naiwności sądziła, że gdyby od pana odeszła, pan by tego nie przeżył.

— Bo tak by właśnie było...

— Teraz, kiedy już pana poznałem, niezbyt w to wierzę.

— Wolno panu.

— Obydwaj nie mamy nic do stracenia.

Powoli wściekłość w nim opada. Gdzie to było, jak Anna powiedziała mu z rozbawie-niem:

— Na tobie świat się nie kończy!

Nie potraktował wtedy tych słów poważnie, ponieważ mówiła je ze śmiechem, jakby zastrzegając się: „to tylko żarty”.

Czy on naprawdę zawsze myślał tylko o sobie?

Ale przecież ten rejs...

Zaraz, jak to właściwie było? Nie, to był jednak jego pomysł, teraz dokładnie sobie przypomina, ale skoro Anna nie miała ochoty, to dlaczego nic mu nie powiedziała? Przecież nie był chyba despota, tylko rozsądnie myślącym człowiekiem? Kilka lat wcześniej także rozmawiali o rejsie statkiem i gdy ona stwierdziła, że nie ma na to większej ochoty, nie popły-nęli. Ale czy ostatnim razem na pewno jej nie zmuszał? Ależ skąd, chciał jej zrobić niespo-dziankę, tylko dlatego kupił bilety bez jej wiedzy. Tylko i wyłącznie dlatego. Po prostu chciał jej zrobić niespodziankę.

— Czy pan jest pewny? Czy Anna tak właśnie panu powiedziała?

Że nie lubi morza? I popłynęła w rejs wyłącznie dlatego, żeby mi zrobić przyjemność?

— Absolutnie tak.

Była wtedy spokojna i małomówna, to prawda, znacznie spokojniejsza niż normalnie. Przypisywał to temu, że poznaje nowy dla siebie świat. Świat luksusu, wielkich przyjęć, *thé dansant*, spotkań z nieznanymi ludźmi, świat o wiele bardziej hałaśliwy niż ten, do którego przywykła na co dzień. Musi przyznać, że on w tym otoczeniu czuł się doskonale, gdyż od dziecka z takim właśnie światem się stykał. Znakomicie obywatel się bez ludzi, tym większą jednak przyjemność sprawiały mu te nieliczne okazje, kiedy się wśród nich znajdował. Pojawienie się od czasu do czasu w wytwornym towarzystwie było czymś, co odczuwał jako dużą satysfakcję. Zawsze lubił sobie porozmawiać w obcych językach, spożyć wykwinny posiłek z kieliszkiem doskonałego wina, być znakomicie obsłużonym przez najlepszy personel. Do dziś pamięta pełne dumy spojrzenie Anny, kiedy jej powiedział, że na balu kapitańskim będą siedzieć przy stoliku kapitana. Pamięta i to, jak po przekornym i pełnym podziwu okrzyku „o rety, to i tutaj wiedzą, jaki jesteś ważny!” nagle z przestrawieniem stwierdziła: „co ja na siebie włożę, nie mam już nic nowego”. Ogromnie ubawiło go wówczas to jej przypuszczenie, że na statku wiedzą, kim on jest. Z wielką przyjemnością chodził także na wieczorne spacerowanie po pokładzie, nie ma bowiem nic piękniejszego niż zachód słońca na morzu. Oczywiście trzeba się wtedy odpowiednio ubrać, nawet jemu zdarzało się czasem szczerkać zębami z zimna. To, że ona wolała zostać w kabinie, uważał za rzecz naturalną, bo czy musi z tego od razu wynikać, że bała się morza?

Co się z nim dzieje? Jak to możliwe, że dotychczas wydawało mu się, że Anna zawsze spacerowała razem z nim, że oparci o reling patrzyli w dal trzymając się za ręce? Czy to wszystko mu się tylko śniło? Który z tych dwóch obrazów jest prawdziwy? Czyż nie była dumna, kiedy pokazywał jej zaproszenie? Czy tylko on poczuł się zaszczycony?

— Chyba powinniśmy coś przekąsić — proponuje. — Tyle że niewiele mogę panu zaoferować.

— Proszę sobie nie robić kłopotu, zjadłem dziś obfity lunch.

— Nalać jeszcze?

— Ale to już ostatni.

Ostrożnie napełnił obydwie kieliszki. Tym razem udało mu się nie rozlać.

— Na początku naszej rozmowy stwierdził pan, że obraz mojej osoby, jaki pan sobie stworzył, a raczej jaki wykreowała przed panem Anna, nie zgadza się z rzeczywistością. Czy zechciałby mi pan to wyjaśnić?

Chwila ciszy, gość najwidoczniej potrzebuje czasu.

— Proszę pana, byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby odniósł pan wrażenie, że przy-szedłem tu jedynie po to, aby pana dręczyć. Ponieważ absolutnie nie było to moim zamiarem, trudno mi teraz szczerze odpowiedzieć na pańskie pytanie. Właśnie dlatego, że zupełnie ina-czej sobie pana wyobrażałem, obawiam się, że moją szczerością mógłbym panu sprawić przy-krość.

— Niech pan jednak spróbuje, sam pan przecież powiedział, że nie mamy nic do strace-nia.

Po raz pierwszy opuszczają ich napięcie, równocześnie sięgają po kieliszki i ten przypa-dkowy gest do reszty rozładowuje sytuację.

— Przez te wszystkie lata Anna wiele mi o panu opowiadała, tak że niejako bezwiednie zacząłem budować sobie pewien obraz pańskiej osoby. Anna starała się być całkowicie szcze-ra, sam pan zresztą wie najlepiej jaka była, poza tym prosiłem ją o to. Często proponowałem, że się z panem rozmówię, niezależnie od tego, jaki miałby być wynik tej rozmowy, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć, ponieważ cały czas bała się, że pan tego nie zniesie. Ciągle powtarzała, że nigdy pan nie zdoła, czy też nie zechce zrozumieć tego, co nas łączy. Bardzo pana szanowała, była panu oddana. Z dziecinną dumą w głosie potrafiła opowiadać mi, jak to wygrał pan jakąś sprawę, w której nikt nie dawał panu najmniejszych szans. Nie zawsze było mi łatwo tego słuchać, ale rozumiałem, że te opowieści o panu są dla niej pewnym zadość-uczynieniem za jej związek ze mną.

— Skoro tak bardzo mnie szanowała i tak bardzo była ze mnie dumna, to dlaczego czuła się — jak pan sam stwierdził — nieszczęśliwa?

— Nie chciałbym pana urazić, ale moim zdaniem, to, że się kogoś szanuje i jest się z niego dumnym wcale nie oznacza, że się tę osobę kocha. Niezależnie od tego... obawiam się, że jednak muszę to panu powiedzieć... jestem przekonany, że Anna, którą pan kochał, była zupełnie inną Anną niż ta, którą kochałem ja.

— A jaka była... — nie chce mu to przejść przez gardło, ale skoro Anna i tak już defini-tywnie należy do nich obydwu, trzeba postawić kropkę nad „i”, więc pyta: — A jaka była w takim razie pańska Anna?

— Cóż, jakby to panu powiedzieć, była jak dziecko, które co dzień od nowa wszystkie-mu się dziwi, które z jednej strony szuka opieki — tę miała od pana — a z drugiej przygód. Miała głęboką wewnętrzną potrzebę, by stale pragnąć czegoś nowego, by każdy następny dzień przeżyć jeszcze intensywniej niż poprzedni. I sędzę, że tej właśnie cechy pan w niej nie dostrzegął.

Wywód ten wydaje mu się zbyt płytki, złości go to.

— W charakterze każdego człowieka tkwi niezadowolenie ze swego powszedniego życia, gdyby więc przyjąć pański tok rozumowania, należałoby uznać, że nikt nie może być szczęśliwy. Za studenckich czasów ja także byłem znacznie bardziej niezrównoważonym człowiekiem niż później, kiedy dorosłem. Cały czas starałem się o tym pamiętać i w miarę możliwości wczuć się w sytuację Anny. A nie było to wcale takie proste, gdy się weźmie pod uwagę, że miałem szalenie absorbującą pracę i bytem od niej nieco starszy. Mimo wszystko jednak próbowałem ją zrozumieć. Jeśli odnosiłem wrażenie, iż pewne moje propozycje, wskazówki czy plany akceptowała bez entuzjazmu, przypisywałem to dzielącej nas różnicy wieku. Chociaż — jak sądziłem do dzisiaj — ani dla Anny ani dla mnie ta różnica nigdy nie stano-wiła żadnej przeszkody. Kiedy się poznaliśmy, byłem już uznanym adwokatem, co niewątpli-wie odgrywało pewną rolę, ona zaś młodziutką, skromną dziewczyną zapatrzoną w ojca.

— O właśnie, pan wybaczy, że przerywam, ale wydaje mi się, że nigdy nie doceniał pan roli, jaką w jej życiu odgrywał ojciec.

— Jej ojciec? To dziwak, co prawda świetny prawnik, później zresztą nieco zmieniłem o nim zdanie, ale przede wszystkim był człowiekiem ze wszech miar ekscentrycznym.

— Ale też człowiekiem niezwykle żywiołowym, erudytą, który jak na tamte czasy zape-wnił swojej córce niesłychanie nowoczesne i wszechstronne wykształcenie w sytuacji, kiedy — myślę, że co do tego jesteśmy zgodni — nasza edukacja nie należała do najbardziej postę-powych, moja w każdym razie na pewno nie.

— Jeśli idzie o metody wychowawcze mojego teścia, wolałbym raczej o nich nie dysku-tować...

— Wspomniałem o nim tylko w związku z Anną.

— Rozumiem, a co do czasów naszej młodości, to absolutnie ich nie przekreślam, wprost przeciwnie, wydaje mi się, że były o wiele lepsze niż to, co obserwuje się dzisiaj... ale za bardzo odbiegamy od tematu.

— Istotnie.

Czuje zmęczenie. Ile to już kieliszków wypił?

— A zatem pan sugeruje, że Anna zachowywała się bardziej naturalnie wtedy, gdy była z panem, a nie ze mną, i że to ja ponoszę za to winę, i że przeze mnie zmuszona była prowadzić podwójne życie?

— W tym wszystkim istotne wydaje mi się tylko to, jak ogromnie trudno było jej z tym żyć przy jej wrodzonej szczerości i prostocie. Najchętniej do tego właśnie ograniczyłbym naszą rozmowę. Obaj ją zawiedliśmy, żaden z nas nie zdobył się na dokonanie wyboru, zrzuciliśmy ten dylemat na jej barki. Jeśli cokolwiek mam sobie do zarzucenia, to tylko to.

O czym ten człowiek bredzi? Kto tu zawiódł, kto miał dokonywać wyboru? Przecież nigdy nie dali mu takiej możliwości. Jego interesuje już tylko jedno, mianowicie, jak to możliwe, że taka kobieta jak Anna, przez ponad trzydzieści siedem lat była związana z innym mężczyzną, a on nigdy niczego nie zauważył.

Nie dosłyszał pytania.

— Pan wybaczy, ale się zamyśliłem.

— Pytałem, czy był pan z Anną szczęśliwy?

— Pan w to wątpi?

— Czy w takim razie teraz jest pan nieszczęśliwy?

— To pana dziwi?

— Szczerze mówiąc, tak. Nie rozumiem, dlaczego w tej rozmowie skupia się pan wyłącznie na własnej osobie.

— Drogi panie, przez całe lata żyłem w przekonaniu, że moje małżeństwo jest wyjątkowo udane, a pana dziwi, że trudno mi pogodzić się z myślą, że to wszystko było tylko złudzeniem? Ze cały czas żyłem w kłamstwie?

— Tylko dlatego, że siedzę tu teraz przed panem?

To już ponad jego siły, jest wściekły, wrzeszczy:

— Tylko dlatego, że pan tu przede mną siedzi?! Wyłącznie dlatego, że pan tu przede mną siedzi!

Blink także traci panowanie nad sobą i również wrzeszczy:
— Przecież przez te wszystkie lata doskonale pan wiedział o moim istnieniu!

* * *

Zastygli bez ruchu. Z rozpostartymi ramionami, zaciśniętymi pięściami i szeroko rozwartymi oczami siedzą naprzeciwko siebie

Z trudem dobywa z siebie głos.

— Co wiedziałem?

— Przecież od samego początku wiedział pan o moim istnieniu.

— Niech pan to powtórzy, bo chyba oszaleję

— Przecież Anna chyba od razu wszystko panu powiedziała?

Acha, więc to dlatego widział zdumienie w jego oczach w czasie całej tej rozmowy. Ten człowiek był przekonany, że on o wszystkim wiedział. Nareszcie zrozumiał, dlaczego tamten tak nalegał, żeby rozmowa dotyczyła tylko Anny.

Teraz Blink jest zaskoczony i bezradny, cofa się w głąb fotela.

Co może w tej sytuacji zrobić?

Co może zrobić innego niż to, co najbardziej oczywiste? Napełnia kieliszki.

Blink kryje twarz w dłoniach. Ten obraz człowieka przybitego, apatycznie zagłębionego w fotelu, przypomina mu ów wieczór sprzed paru dni, kiedy to on siedział nieruchomo w tym pokoju.

Może lepiej zostawić go teraz samego?

Wychodzi do kuchni, otwiera lodówkę i odkrywa, że zostało jeszcze parę jajek. Całe szczęście, że ma jeszcze chleb. Rozpuszcza masło na patelni, rozbija jajka opryskując sobie garnitur, ale nie zwraca na to uwagi. Ma uczucie, że dopiero teraz naprawdę dotarło do niego, że Anna już nie żyje.

Kiedy wraca do pokoju, Blink siedzi w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawił.

Mówi niepewnie:

— Zrobiłem jednak coś do jedzenia. Niewiele tego, bo nie byłem przygotowany, ale lepsze to niż nic.

Blink płakał, ma zaczerwienione oczy.

Drżącymi rękami jedzą jajecznicę; trzy razy zawartość łyżeczki spada Blinkowi na podłogę.

W końcu przerywa milczenie:

— Mam jeszcze butelkę dobrego wina, nie pasuje wprawdzie do tej potrawy, ale prze-cież wieczór jest wyjątkowy.

Blink nadal milczy.

Wreszcie, kiedy wypili pierwszy łyk wina, Blink mówi nie podnosząc na niego oczu:

— A więc obaj żyliśmy w kłamstwie.

— Na to wygląda.

— Ale dlaczego?

— Czy kiedykolwiek to zrozumiemy?

— Ja chciałbym zrozumieć.

Blink wstaje z miejsca i podchodzi do okna. Na dworze jest zupełnie ciemno.

— To niemożliwe, żeby okłamywała mnie bez przyczyny, musiała mieć jakiś powód — mówi po chwili Blink, bardziej do siebie niż do niego. — Pytałem ją: „czy opowiedziałaś o tym mężowi? Chcę, żeby wiedział o wszystkim, niezależnie od konsekwencji, nie chcę dalszych spotkań po kryjomu. Nienawidzę działania za plecami, wiele potrafię zrozumieć, pod warunkiem, że wiem, na czym stoję.” — Odwraca się plecami i mówi dalej, szybko wyrzucając z siebie słowa: — Opowiedziała mi, jak początkowo nie mogłeś się z tym pogodzić, że choć najpierw byłeś wściekły, potem jednak wykazałeś zrozumienie, i za to cię podziwia. Mówiła, że tak strasznie ją kochasz, że aż nie możesz bez niej żyć, że zabiłbyś się, gdyby odeszła. Później, kiedy znów o to pytałem, odpowiedziała, że już pogodziłeś się z tą myślą, bo w końcu rozumiałeś, że nie możesz jej dać wszystkiego, czego ona oczekuje. Jak Boga kocham, w głębi duszy nawet cię podziwiałem, myślałem sobie: „Cóż za nadzwyczajny człowiek z tego Van der Bruga, skoro potrafi się z tym pogodzić”. Dlatego właśnie chciałem cię poznać, rozumiesz? Prosiłem o to Annę wielokrotnie, bo jednak nie dawało mi to spokoju, ale kiedy jej powiedziałem, że chcę się z tobą spotkać, ona próbowała mi wytłumaczyć, że tego nie możemy od ciebie wymagać, bo to jedyna rzecz, która sprawiłaby ci prawdziwy ból. Mówiła też, że jesteś zbyt dumny i masz ogromne poczucie własnej godności, i gdyby doszło do tego spotkania, oznaczałoby to koniec wszystkiego. Powiedziała również, że nigdy się z nią nie rozwiedziesz, zarówno ze względu na opinię, jak i twoją pozycję towarzyską i zawo-dową. Ileż ja się musiałem nasłuchać, jaki

to jesteś ważny, jak ciężko pracujesz, jak wszyscy naokoło cię chwalą! Potem jeszcze stwierdziła, że nie mogłaby żyć bez ciebie ze świadomością, że wyrządziła ci tak wielką krzywdę, mówiła, jaki jesteś dla niej dobry i że tak wysoko cię ceni jako człowieka. Pamiętam dokładnie, jak kiedyś powiedziała: „gdyby nie to, że on tak bardzo mnie kocha, byłoby to dla mnie znacznie łatwiejsze”. Chciała przed tobą ukryć nawet to, że pozostało jej już niewiele życia, „nie chcę, żeby o tym wiedział, on tego po prostu nie znieś, nie chcę, żeby zmartwienie zmaćło nasze ostatnie chwile”. Myślisz, że mógłbym żyć z nią tak długo, kochać ją, gdybym nie wierzył — niezależnie od tego, jak trudne i dziwne było to „nasze” życie — że przynajmniej nie opiera się ono na kłamstwie? — Blink wpatruje się w niego bezradnie.

A on patrzy na tego załamane go człowieka i ma dziwne uczucie, że chyba zaczyna rozumieć Annę. Jeszcze przed niespełna dwoma godzinami nienawidził Blinka, teraz ma ochotę go pocieszyć. Wszystko, co powiedział dziś Blink ciągle brzmi mu w uszach. Ni stąd, ni zowąd przypomina sobie dwa bukiety białych róż na grobie Anny i mówi:

— Spotkaliśmy się po to, żeby zrozumieć Annę. Taka była twoja propozycja.

Nawet nie zauważyli, w którym momencie przeszli na „ty”.

Blink milczy, a on długo zastanawia się, co powiedzieć.

— Dzisiaj dowiedziałem się kilku rzeczy, o których nie miałem pojęcia. W ostatnich dniach po raz pierwszy poczułem się naprawdę stary, a być może po raz pierwszy poczułem się także mądry.

Uśmiecha się przeprasza ją, po czym mówi żartobliwie:

— Jestem od ciebie nieco starszy, pozwól więc, że wystąpię w roli mentora. Jestem ci ogromnie wdzięczny za tę wizytę. Niesłychanie dużo mnie ona nauczyła. Wiem, że żal z powodu tego, co wyrządziłem Annie, przez to nie minie, bardzo się jednak cieszę, że teraz znam całą prawdę. Właśnie niedawno przypomniałem sobie, jak Anna powiedziała mi kiedyś: „świat się na tobie nie kończy”, ale dopiero teraz rozumiem, co miała na myśli. Miała zupełną rację, świat się na mnie nie kończył. Anna była moim światem i przyjąłem egoistycznie, że ten mój świat musi być zarazem jej światem, nigdy nie chciałem dostrzec, że ona też ma jakiś własny świat, kipiący życiem, pełen emocji, muzyki, tańca, pełen niespodziewanych

przygód, pełen... jednym słowem świat, który znasz. Nawet nie zauważyłem, kiedy stałem się starszym panem, całe życie spędziłem ślęcząc nad papierami. Żyłem monotonna, czas wypełniała mi praca, zajmowałem się wyłącznie sobą. Dobrze jest czasem nazwać rzeczy po imieniu, cho-ciaż sam jestem zdumiony swoją otwartością. Ale w tym moim świecie było także miejsce dla drugiej osoby, mianowicie dla Anny. Oczywiście, pod warunkiem, że zdecydowałyby się do niego dostosować. To, co mówiłeś o dzieciach, to bzdura, w moim świecie absolutnie nie było dla nich miejsca. I Anna dobrze o tym wiedziała, nigdy więc bym nie przypuszczał, że największym jej zmartwieniem będzie to, że mnie nigdy nie zależało na posiadaniu dzieci. Sądzę, że musisz próbować zrozumieć, że ona cię okłamała, aby w ten sposób oszczędzić mnie. Chciała widzieć we mnie człowieka, którego może kochać, a kiedy odkryła, że nigdy takim człowiekiem nie będę, ofiarowała mi swoje przywiązanie. Boże, gdyby mi powiedziała, że jest związana z innym mężczyzną, nigdy bym się z tym nie pogodził! Ale tylko wrodzona prostoduszność mogła podsunąć jej myśl, że z tego powodu odebrałbym sobie życie, mało kto posuwa się choćby do tego, żeby sformułować taką groźbę. Dopiero teraz rozumiem, jak wiele musiało ją kosztować takie życie w kłamstwie z konieczności. Tylko dziecko potrafi to znieść na dłuższą metę. Szczerość to jedno z najtrudniejszych do zdefiniowania pojęć. Kiedy człowiek ma obowiązek być szczery?

Blink wbija w niego wzrok, w jego oczach widać wyrzut. Po chwili pyta:

— Dlaczego mnie okłamała?

Nigdy jeszcze nie rozumiał jej tak dobrze jak teraz, i nigdy jeszcze nie kochał tak bardzo.

— Przecież ci mówię, Anna była jak dziecko. Co więcej, zawsze pozostała dzieckiem swego ojca, sam o tym wspomniałeś, tymczasem ja, ograniczony cymbał, nigdy nie chciałem tego dostrzec. Jeśli kiedykolwiek byłem o kogoś zazdrosny, to właśnie o jej ojca. Przez całe życie zajmowałem się zawodowo poszukiwaniem ukrytej prawdy, a w przypadku własnej żony schowałem głowę w piasek. Czy można było od niej oczekiwać, że poświęci wszystko? Kochała ciebie. Gdyby powiedziała ci prawdę, utraciłaby cię. Nie musisz sobie robić żadnych wyrzutów, dałeś jej po prostu szczęście. A w końcu ilu ludzi może to o sobie powiedzieć? Ja na pewno nie. Jak słusznie

zauważyłeś, nie była ze mną szczęśliwa, jedyną dla mnie pociechą jest to, że być może nie była aż tak bardzo nieszczęśliwa, jak utrzymywała w rozmowach z tobą.

Spoglądają na siebie w milczeniu.

Wskazuje na butelkę i mówi:

— Nasz antałek jest pusty. Zrobiło się trochę późno. Jestem zmęczony.

— Masz rację, będę się zbierał.

— Zanim wyjdiesz, chciałbym ci zadać jedno pytanie.

— Proszę bardzo.

— Czy ty byłeś z Anną szczęśliwy?

W oczach Blinka błysnął smutny uśmiech przypomnienia.

— Ty w to wątpisz?

— Czy w takim razie teraz jesteś nieszczęśliwy?

— To cię dziwi?

— Nie, ja to doskonale rozumiem.

Idą do drzwi, zdejmuje z wieszaka płaszcz Blinka i podaje mu go, mówiąc:

— Diabelnie boli mnie kolano, nie znalazłbyś może kiedyś trochę czasu, żeby je obej-rzeć?

Blink uśmiecha się.

— Obawiam się, że na tym także znam się niezbyt dobrze.

Idą do windy w milczeniu, pograżeni w myślach.

Obaj stoją teraz wpatrując się w świecący czerwony przycisk.

Nagle Blink mówi:

— Co roku przychodziłeś na cmentarz przed dziesiątą, nigdy później, prawda?

— Tak.

— Ja także.

— Do czego zmierzasz?

— Czy w przyszłym roku nie mógłbyś przyjść, powiedzmy, po południu?

— Dlaczego?

— Kto wie, może zastaniesz na grobie Anny więcej niż jeden bukiet białych róż...

Wracając do mieszkania, rozmyśla o tym, że nareszcie zrozumiał Annę.

To, co zasugerował Blink, wydało mu się tak nedorzeczne, że nic

nie odpowiedział.

Z języka niderlandzkiego przełożył RYSZARD TURCZYN